Nr. 15. Kraków, dnia 10 kwietnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Czas ostatni odnowić i nadesłać przedpłatę na nowy kwartał. Zwracamy uwagę Przyjaciołom TYGODNIKA NARODOWEGO, aby uczynili to jak najrychlej, nie chcemy bowiem narażać ich na takie przykrości, jak wstrzymanie przysyłki pisma. Chodzi nam również o uregulowanie nakładu TYGODNIKA, co Przyjaciele nasi zechcą wziąć również god uwagę.

Uiszczając się z zapowiedzi poczynionych w zeszytach poprzednich, wprowadzamy z numerem bieżącym LISTY WARSZAWSKIE, pisane przez jednego z najwybitniejszych publicystów warszawskich, który ze względów zrozumiałych musi się kryć poza pseudonimem. Jest to początek prac, jakie mają na celu zobrazowanie obecnego położenia w Polsce. Postaramy się nawiązać stosunki ze wszystkiemi dzielnicami Polski.

Wierzymy, że Czytelnicy i Przyjaciele poprą skutecznie usiłowani TYGODNIKA NARODOWEGO — i nie tylko wierzymy, ale jesteśmy tego pewni. Daje nam tę wiarę i pewność uznanie i Czytelników i prasy polskiej. O TYGODNIKU pisały: Czas, Głos Narodu, Nowa Reforma, Dziennik Cieszyński, Gwiazdka Cieszyńska, Nowiny, Głos Rzeszowski, Słowo Polskie, Kuryer Lwowski, Gazeta Narodowa, Przegląd, Goniec, Głos Polski, Gazeta Kołomyjska, Szkoła, Dziennik Kijowski, Dziennik Petersburski, Gazeta Warszawska, Dzień, Kuryer Poznański, Gwiazda i wiele innych. Zestawienie głosów prasy polskiej zajęłoby zbyt wiele miejsca, godzi się jednak nadmienić, że głosy te były przychylne i pobudzające do pracy.

Za zaufanie to wywdzięczyć się pragniemy pracą szczerą, rzetelną i intenzywną. W pracy tej pomogą nam Czytelnicy przez poparcie samego TYGODNIKA, szerzenie jego idei, rozszerzanie jego w gronach znajomych, jednanie mu nowych nieustannie Czytelników i przedpłacicieli.

Z jednem jeszcze chcemy się zwrócić do Przyjaciół. Przy zakupach prosimy powoływać się na ogłoszenia w naszem piśmie, a znajome firmy nakłaniać do anonsowania się w TYGODNIKU. W ten sposób bowiem TYGODNIK NARODOWY zatacza coraz większe kręgi i tem gruntuje się coraz bardziej jego rozwój.

Stosunki w Królestwie Polskiem.

Warszawa, w kwietniu.

Z miłą chęcią staję wespół z Wami do szeregu. Wszak można mówić wszystko i szczerze i jasno, bez obawy represyi ze strony rządu, który pomimo zniesienia cenzury prewencyjnej może na prasę wywierać wpływ przez kary prasowe i procesy. U wstępu moich rozważań chciałbym w najogólniejszej formie dać obraz obecnych stosunków w Królestwie Polskiem w porównaniu z okresem „przedrewolucyjnym“.

Okres „przedrewolucyjny“ znacie dobrze. Raczej intuicyjnie odgadujecie, jakie to były czasy. Znalazły swój wyraz w publicystyce, w powieści, na deskach teatralnych. Wiadomo, że panował wówczas rząd i biurokracya, spełniająca gorliwie wszelkie zamysły rządu. A rzecz znana, w jakim kierunku one zmierzały. Dążenie rządu było zgniecenie polskości, wynarodowienie nas zupełne. Środkiem do celu była administracya kraju i szkolnictwo, rusyfikujące społeczeństwo i młodzież; dążność rusyfikatorska położyła swą łapę nad wszystkiem: zabroniono czynu i słowa polskiego, nieledwie polskość z duszy usiłowano wyrwać. — Do takiej polityki społeczeństwo nasze odnosiło się wrogo. Stronnictwo „ugodowe“, które głosiło rezygnacyę i zgodę z rządem, nie miało u ogółu oparcia, rozumowano bowiem powszechnie, że ugoda z rządem rosyjskim, to bierne oddanie się na rzeź.

W zupełnie inne stosunki wprowadziła ogół wojna rosyjsko-japońska. Przez nikogo nieoczekiwane zwycięstwo mieszkańców kraju Wschodzącego Słońca, straszliwy pogrom wojsk rosyjskich na Dalekim Wschodzie, szalona demoralizacya wojska i biurokracyi, ujawniająca się podczas wojny — to wszystko obudziło nadzieje rewolucyonistów, którzy przez rewolucyę usiłowali zmienić stan rzeczy w Rosyi. W Królestwie ruch ten objawił się podrygami rewolucyonistów, którzy chcieli rewolucyę polską połączyć z rosyjską, a przedewszystkiem z dążeniem do autonomii. Nadzieje w części zawiodły: ale pozostała zawsze konstytucya z 17/30 października 1905 r. i Duma, parodya przedstawicielstwa ludowego.

Stosunki w Królestwie uległy zmianie na lepsze. Nie osiągnęliśmy wprawdzie zmian doniosłych, zawsze atoli stosunki obecne są znośniejsze niż przed r. 1905. Język polski zdobył sobie pewne prawa. Chociaż nie stał się obowiązującym w administracyi, używa się go w życiu stowarzyszeń, co było wzbronione. Zdobył sobie pewne prawa w szkolnictwie średnim, gdzie uczy się go jako obowiązkowego. Społeczeństwo zdobyło: prywatne szkoły średnie polskie, wolność stowarzyszania i wolność prasy. To są trzy konkretne zdobycze. Szkolnictwo średnie prywatne daje wychowanie narodowe kilku tysiącom młodzieży polskiej; wprawdzie koszt utrzymania tych szkół jest ogromny, ogół jednak łoży na nie ochotnie, świadom znaczenia, jakie ma szkoła na kształtowanie się umysłów i charakterów. Wolność stowarzyszania jest wprawdzie ograniczona, ale i przy tem ograniczeniu udało się stworzyć liczne środowiska pracy kulturalnej i gospodarczej. Powstały organizacye kulturalne w rodzaju uniwersytetu ludowego, kursa naukowe zastępujące wszechnicę polską, biblioteki publiczne, stowarzyszenia krajoznawcze, kluby polityczne. W stosunkach gospodarczych jest również duży postęp, mamy bowiem nowe i duże organizacye finansowe, asocyacye rolnicze i zrzeszenia drobnego handlu i przemysłu. W gazetach i książkach wolno pisać więcej i bardziej otwarcie. Z tem wiąże się rozwój życia politycznego. Z działających stronnictw są następujące: demokracya narodowa, organizacya najsilniejsza, kierowana przez Romana Dmowskiego, Z. Balickiego, J. Nowodworskiego, St. Bukowieckiego; należą do niej ziemianie, inteligencya zawodowa i włościanie, do których zaczynają się dobierać występujący pod hasłami stanowemi ludowcy M. Malinowskiego; robotnicy, zorganizowani w Narodowym Związku Robotniczym, który dawniej stanowił najsilniejszą ostoję demokracyi narodowej; odpadli od niej, a skłaniają się do t. zw. frondy demokratyczno-narodowej, prowadzonej przez Z. Makowieckiego i Tad. Grużewskiego, a główną różnicą ich dzielącą jest pogląd na politykę w Dumie: o ile fronda żąda, aby stać w bezwzględnej opozycyi do rządu, o tyle demokracya narodowa i kierowane przez nią Koło Polskie pragnie być wobec rządu lojalne, a drogą układów z narodem rosyjskim zdobyć warunki znośniejsze. Dawni ugodowcy przeobrazili się w „realistów“, którzy wyznają te same co dawniej zasady, a prowadzeni są przez A. Dobieckiego, L. Górskiego, L. Straszewicza i Erasma Piltza. Są wreszcie postępowcy, składający się z nielicznej inteligencyi chrześciańskiej i żydów; leaderami ich to żydzi Kempnerzy, Konic i Polak Papieski. To wysuwanie się nieustanne żydów, wywołało kwestyę żydowską w kraju: żydów tysiące przychodziło do Polski z Rosyi i stawali się u nas rozsadnikami rusyfikacyi; ci zaś, którzy rodzili się w Polsce, i wychowywali, postępowali arogancko i wyzywająco, szli na rękę rządowi i Niemcom, którzy chcą koloniami obsiać Królestwo i z niego, jak z Galicyi, urządzić sobie teren eksploatacyjny. Opinia publiczna i przeciwko jednym i przeciw drugim wystąpiła bezwzględnic i stanowczo, dając wyraz przez to przekonaniu, że nie chce w swem łonie ścierpieć rozsadników kultury obcej. Jestem zresztą pewny, że Tygodnik Narodowy zajmie się żydami wogóle, a przy tej sposobności i ja dorzucę swoje trzy grosze.

Novus.

Uwagi z tygodnia.

— *Sprawa Banku Przemysłowego*, o którym Tygodnik już pisał obszernie, przeszła nową fazę. Jako kapitały zaangażowano kapitały prywatne i kapitały miast. Jest charakterystyczne, że odrzucono zupełnie ofertę ks. A. Lubomirskiego, ofiarującego gotowość przystąpienia do spółki zamiast Niemców z całym kapitałem, jaki Niemcy wnosili. To odrzucenie obudza większe obawy co do przyszłości Banku: stanie się on bodaj maszyną w ręku niemieckiem i żydowskiem. Dlaczegóż oni właśnie, nie, i Niemcy i żydzi, tak zabiegali o wyrzucenie ks. Lubomirskiego i osadzenie w jego miejsce kapitałów obcych?...

O najwyższy hołd królowej Jadwidze.



Królowa Jadwiga.

Dostojny kapłan i gorący patryota, Biskup-Sufragan lwowski, złotousty *Władysław Bandurski,* wydał świeżo odezwę, wzywającą wszystkie serca polskie *do oddania najwyższego hołdu Królowej Jadwidze*, do ułatwienia w przeprowadzeniu *procesu kanonicznego* w Stolicy Apostolskiej. Na gorące słowa czcigodnego Obywatela-Kapłana pragniemy zwrócić niniejszem uwagę wszystkich naszych Czytelników, i zachęcić, aby w chwili obecnej, gdy myśl nasza i uczucie wybiegają do walnej bitwy Grunwaldzkiej, aby w chwili obecnej wszyscy królewską oddali cześć naszej Jadwidze.

W przededniu rocznicy Grunwaldzkiej obok imienia Jagiełły jedno imię narzuca się pamięci potomnych: *imię Królowej Jadwigi.* Sprawa rozszerzenia jej czci w tej chwili doniosłego nabiera znaczenia. Oddźwięk, jaki znajdzie w sercach naszych, będzie miarą naszej wdzięczności i duchowej z czasami Jagiellonów łączności. Najważniejszym punktem w programie tegorocznych uroczystości grunwaldzkich, to uczczenie publicznym aktem królowej Jadwigi, to jednomyślne objawienie pragnienia, ażebyśmy Ją ujrzeli na ołtarzach naszych, abyśmy mogli wzywać Jej przyczyny jak Orędowniczki naszej w Niebiosach.

Cała Polska od wieków najgłębszą czcią otacza imię królowej Jadwigi. A gdzież powód tej czci niezwykłej całego narodu dla swej królowej? Gdzie tajemnica wielkich czynów, spełnionych przez nią w ciągu 14-letniego zaledwie panowania? Co w takiej mierze ściągnęło na rządy Jadwigi błogosławieństwo Nieba, co użyźniało każde dzieło, do którego przyłożyła rękę? Nie co innego zaiste, jeno wzmagająca się z każdym rokiem świątobliwość Jadwigi, Jej duch ofiary i zaparcia, gorącą podtrzymywany modlitwą — Jej mądrość prawdziwie nadziemska, zaznaczająca się raz po raz jasnem widzeniem przyszłości lub spływająca balsamem na serca ludzkie, czynem miłosierdzia i anielskiego współczucia wyrazem. I blask świętości Jadwigi nie dał na siebie czekać. Coraz liczniejsze wota nad ubogą tumbą na Wawelu, świadczyły o niewygasłej wdzięczności ludu dla swej opiekunki i o Jej skutecznym orędownictwie. To też w 20 lat po Jej śmierci rozpoczęto już starania o proces kanonizacyjny, który niestety uległ przerwie wskutek niepomyślnych zwrotów w naszej Ojczyźnie.

W aktach przechowały się po dziś dzień dokumenty, potwierdzające dwa cudy z r. 1419, że cudy działy się przedtem i potem, że były liczne, dowodzą słowa Długosza, który zeznaje: „Jadwigi tej pobożnej i błogosławionej niewiasty świętość okazała się po śmierci i dotąd się między nami okazuje. Za jej bowiem przyczyną i przez Jej zasługi umarli wracają do życia, chromi chodzą, ślepi widzą, niemi odzyskują mowę, chorzy cierpieniami rozmaitymi nękani otrzymują pociechę i zdrowie“.

Dziś w chwili, gdy obchodzić mamy rocznicę Grunwaldu, czas najwyższy, ażebyśmy przed Nią sami ugięli kolano, ale i całemu światu pokazali tę Apostołkę, co miliony podbiła Chrystusowi, tę pokutnicę na tronie, tę hojną krzewicielkę wiary i oświaty. Dziś kto może, niech umożliwi swą ofiarnością proces kanonizacyjny! niech pomyśli, że skoro tylko Stolica św. na to zezwoli, Jadwidze inna będzie się należała trumienka, niż ta drewniana, spróchniała wśród gruzów, w której odnaleziono Jej zwłoki w r. 1887.

Niechże się potworzą po całym kraju komitety w celu zbierania podpisów z prośbą o rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego! Gdy tych podpisów zbierze się milion, jak owych koron na szkoły kresowe, wówczas Biskupi polscy, którzy dziś już tę sprawę uważają za swoją, poprowadzą ją dalej, u stóp Ojca św. pokornie przedłożą, poprą świadectwem wieków i, da Bóg, dowodami nowych łask i cudów, bo cudów Jadwigi potrzeba jeszcze koniecznie: uprosić je może tylko wiara gorąca dusz polskich, ufne w potrzebach i smutkach wzywanie. I przyjdzie czas, że nam Jadwiga odpowie, Swego orędownictwa ześle znak widomy, do ludu Swego wdzięcznego miłościwe z nieba wyciągnie ramiona i powiedzie go znowu szlakami powodzenia i chwały.

GRUNWALD.

(Wyjątek z poematu).

. . . .

Raz po raz błyskawice
Niebiosa drą w kawały,
Imię Boga-Rodzicy
Powietrzne surmy grały.

Walczą ognie skrzydlate
Tak jak niegdyś przed laty,
Walczą duchy zawzięte,
Duchy ciemne i święte,
Komu przyznać zwycięstwo tam w dole:
Ziemia drży, jęczy niwa,
Sąd wieków się odbywa
Za wieków łzy i bole.

Wciąż błyskają szyszaki
W ogniu, z pośród kurzawy,
W wał się biją ogromny,
W wał ognisty i krwawy
Tam chmurą lecą ptaki
Jakieś ptaki olbrzymy,
I co w locia potrącą,
To rozwiewa się w dymy.

Wre bój — widać błysk grotu
Miecze na tarczach grają,
Rozpryskują się skrami
I gasną. — Hen lasami
Między ciemne konary
Między sosny te stare
Mkną się cicho, jak duchy,
Długie, szare łańcuchy,
Na bój, na śmierć się święcą.
Lekko brzęczą kołczany,
Grotów migają roje,
Cięciwy drżą szarpane,
Litwa idzie, mkną woje.
Zgiełk. Chorągwie łopocą
Skrzydła ptaków się chwieją,
Ognie pancerze złocą
Wstają w słupy szaleją,
Podnoszą się, znów giną.
Nad ogromną doliną
Płyną szumy, gra morze,
Wały wód się podnoszą,
Jako ściany ogromne
I walczą.
Sądy Boże
Drżą nad wojskiem, gdzieś w górze
I czekają. Już wróże
Wielkich zwycięstw się jawią,
Już Słowu błogosławią...

— — —

Lwów. *Ludwika Pierożyńska.*

Legion polski w Ameryce.

W milwauckim „Kuryerze Polskim“ podaje p. *S. Łempicki* ciekawe szczegóły o mało znanym legionie polskim, utworzonym w Nowym Yorku podczas wojny secesyjnej, dowodzonym zaś, jako 58-my pułk ochotniczy, przez pułkownika, a następnie generała *Włodzimierza Krzyżanowskiego.*

Pierwszy chrzest bojowy otrzymał legion polski w bitwie pod Cross Keys (Wirginia), w której odznaczył się nadzwyczajną sprawnością i męstwem. Wojsko unijne znajdowało się w bitwie tej pod dowództwem generała Fremonta, a legion polski wchodził do składu drugiej brygady, znajdującej się pod komendą generała Bohlena. Siłami konfederatów dowodził generał Jackson. Pułk Krzyżanowskiego odznaczył się śmiałym atakiem na bagnety, dzięki któremu przeważające siły nieprzyjacielskie odparto z pozycyi na kilkaset jardów, ułatwiając robotę stojącej już w pogotowiu artyleryi. Atak Polaków na bagnety tak podobał się generałowi brygady Bolenowi, iż pochwalił legion polski wobec całego wojska, oraz powtórzył pochwałę tę w urzędowym raporcie do głównego sztabu. O zasługach pułku Krzyżanowskiego w tej bitwie bardzo przychylnie odzywa się również kapitan Schrimer, dowodzący bateryą lekkiej artyleryi, zaznaczając w służbowym raporcie do generalnego sztabu, iż legion polski kilkakrotnie okazał wielką dzielność i umożliwił mu podtrzymywanie ognia działowego w chwilach krytycznych. Lepszej pochwały dla ochotników, znajdujących się pierwszy raz w bitwie, dać chyba nie można.

W bitwie pod Cross Keys pułk Krzyżanowskiego stracił: 7 zabitych, 18 ranionych i 4 zaginionych.



„Widmo“. („Lituania“).

Gdy następnie zreorganizowano korpusy, 59-ty pułk ochotniczy stał się składową częścią drugiej brygady generała Schurza. Dowództwo nad tą brygadą, należącą do pierwszej dywizyi korpusu generała Sigla, w armii generała Popa, oddano pułkownikowi Krzyżanowskiemu.

W bitwie pod Manassas (Wirginia), dnia 29 sierpnia 1862 roku, pułk Krzyżanowskiego stracił 14 żołnierzy zabitych, 32 ranionych i 11 zaginionych, razem 57. Następną bitwę, w której brał także udział, stoczono dnia 2 maja 1863 roku w Chanceillorsville (Wirginia). Tutaj pułk miał

31 zabitych, ranionych i zaginionych. — W krwawej bitwie pod Gettysburgiem, trwającej od 1 do 3 lipca 1863 roku, legion polski, liczący 11 oficerów i 210 szeregowców, stracił 20 ludzi. W następnych bitwach liczba żołnierzy regimentu tak się zmniejszyła, iż we wrześniu 1863 roku oddano go pod dowództwo kapitana Michała Esembanta. Pułkownik Krzyżanowski został dowódcą brygady trzeciej dywizyi, jedenastego korpusu armii. W tymże miesiącu (wrześniu) brygada Krzyżanowskiego otrzymała rozkaz maszerowania do Tennessee na pomoc generałowi Rosenkrantzowi, zamkniętemu w Chattanooga.

Gdy pewnego razu w marszu tym wojsko rozłożyło się obozem dla odpoczynku, zjawiło się niespodzianie 200 członków legionu polskiego i wszyscy zapisali się ponownie do służby czynnej, uzyskawszy, jako weterani, urlop 60-dniowy. Korzystając z niego, udali się oni *in corpore* do Nowego Jorku, gdzie urządzono na ich cześć wielką owacyę. Tłumy obywateli nowojorskich z burmistrzem na czele, witały weteranów z pola walki, o których męstwie mówiono ogólnie.

Zaznaczyć tu jeszcze trzeba, iż przed samem wyruszeniem do Nowego Jorku legion brał udział w bitwie pod Wauhatchte (Tennessee) dnia 28-go października 1863 roku, oraz przy bombardowaniu Missionary Ridge w listopadzie 1863 roku.

Po powrocie weteranów z urlopu w marcu 1864 roku pułk ich przebywał stale od roku 1864 do 1865 w Bridgeport (Tennessee), pełniąc obowiązki garnizonu, pilnującego linii od Nashville do Chattanooga i strzegącego komunikacyi kolejowej.

Po zakończeniu wojny we wrześniu 1865 roku, pułk Krzyżanowskiego odkomenderowano do Nashville (Tennessee), gdzie otrzymał ostatnią pensyę, a dnia 1 października tego samego roku rozwiązano go ostatecznie.

Co się tyczy dowódcy pułku, generała Włodzimierza Krzyżanowskiego, to zakończył on życie 1 stycznia 1887 roku, na stanowisku inspektora celnego w służbie Stanów Zjednoczonych.

ZAPISKI LITERACKIE.

— O LEGIONIE POLSKIM. W Paryżu wydano tom II i III „Dziejów legionu polskiego“, który w pamiętnym r. 1848. powołał do walki o wyzwolenie Włoch Adam Mickiewicz Dzieje legionów wydał Władysław Mlckiewicz, syn poety, jedna z najpiękniejszych postaci obecnego pokolenia, twórca i opiekun muzeum mickiewiczowskiego przy Bibliotece polskiej w Paryżu, który przez życie swe całe z najwyższym pietyzmem gromadzi pamiątki po wielkim ojcu i ogłasza je na użytek powszechny. — Dzieło o legionie polskim pojawiło się w języku francuskich, większa bowiem część dokumentów napisana jest po francusku. Zgromadzono tu to, co zebrać się dało, trudno bowiem zebrać to wszystko, co rozprószyło się po emigrantach, zagnanych przez los niekiedy do Kairu lub San Francisko. Pierwszy tom tego dzieła pojawił się jeszcze w roku 1877., wówczas, kiedy na domu, w którym mieszkał Mickiewicz w Rzymie w r 1848., umieszczono tablicę pamiątkową, a popiersie jego ustawiono obok najsławniejszych geniuszów ludzkości na kapitolu.

— KAZIMIERZ TETMAJER w dwu ostatnich swoich utworach dał nam powieść historyczną z XVII w. „Maryna z Hrubęgo“ i szóstą seryę „Poezyi“. „Maryna“ osnuta jest na znanym buncie Stanisława Kostki Napierskiego, który jako rzekomy obrońca uciśnionego ludu wystąpił przeciwko Janowi Kazimierzowi. Ponieważ rzecz dzieje się na Podhalu, Tetmajer w opowiadanie swoje wplótł opisy przyrody i życia góralskiego, co dodaje powieści ogromnej barwności i żywości. — W „Poezyach“ widać ten sam co dawniej pesymizm, zgorzkniałość; poeta szuka bezskutecznie odpowiedzi na rozmaite zagadki życia i spowiada się z braku celu w życiu: spowiedź ta jest niejako spowiedzią pokolenia, które po upadku roku 1863. popadło w rozpacz beznadziejną i zwątpienie bezwzględne. Wyrazem uczuć i pragnień pokolenia współczesnego są umieszczone w tym samym tomiku wiersze, biorące za tło Tatry: niema tu już żadnego przygnębienia, a owszem pragnienie życia przelewa się z każdej karty. Takim jest Tetmajer, wahający się między hymnem na cześć życia a naskrajniejszem zwątpieniem.

— NOWELE WŁODZ. PERZYŃSKIEGO. Są to rzeczy wesołe, swobodne, pisane lekko i z humorem. Autor, wybitny dramaturg, wyszukuje specyalnych scen i okoliczności, które najniespodzianej się zjawiają i ubawiają serdecznie czytelnika. Jest w nich dużo pierwiastku łobuzerskiego, a łobuzerstwu niejedno należy wybaczyć.

— KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO: „W KALEJDOSKOPIE“ jest zbiorem rozmaitych feljetonów, ogłaszanych w pismach przez znanego tego autora. Są więc tutaj wrażenia z włóczęgi po Europie, z wybrzeża północno-francuskiego i z angielskiego; są listy z Paryża, zawierające wiele trafnych spostrzeżeń i nieco informacyi o teatrze



Żelisław powracający z wyprawy wojennej.

francuskim; są essay o aktorach i pisarzach i kilka feljetonów o Ibsenie. Makuszyński jest poczytny: a poczytność — jedna mu nadewszystko|styl barwny i jaskrawy, tryskający dowcipem, a dowcip jest ceniony w społeczeństwie smutnem: jak nasze.

(n.)

— ZAPISKI. Księgarnia F. Westa w Brodach wydała ostatnią pracę znanego polityka i pisarza Wojciecha Dzieduszyckiego: „Dokąd nam iść potrzeba?", która jest niejako jego testamentem. — Adam Szymański, znany autor „Szkiców", napisał dwie nowe powieści: „Z jakuckiego Olimpu" i „Aksiuja", opowiadanie z życia wschodniej Lechyi. — Przegląd Powszechny drukuje ciąg dalszy „Dziejów Filomatów" w opracowaniu St. Pietraszkiewiczówny, która opiera się na materyałach nieznanych dotąd, a przechowywanych w rodzinie Pietraszkiewiczów; W. Gostomski charakteryzuje „pracę u podstaw w powieści Elizy Orzeszkowej", a ks. Fr. Klimke daje początek interesującej pracy o Darwinie i jego dziele. — Przegląd Narodowy (Warszawa) przyniósł rzecz ideową Zygmunta Balickiego o „Złotym Rogu" i nader interesujące studyum statystyczne Ogończyka o stosunkach etnograficznych na Litwie; A. Kraushar rzuca ciekawy przyczynek o nieznanym korespondencie zaufanym prądu rosyjskiego na emigracyi po r. 1831. — Władysława Orkana nowa powieść „Pomór", osnuta na tle klęsk głodowych po r. 1846. wydał S. A. Krzyżanowski w Krakowie. — W wydawnictwie Klasyków polskich H. Altenberga (Lwów) rozpoczyna się druk utworów Mickiewicza w opracowaniu T. Piniego i Goszczyńskiego w opracowaniu Z. Wasilewskiego. — Cezarego Jellenty studyum literackie: „Druid Juliusz Słowacki" wyjdzie niebawem u Westa w Brodach. — Zienkowicz i Chęciński we Lwowie rozpoczęli wydawnictwo Białych kruków, zabytków języka polskiego; jako tom pierwszy wyszedł „Lament chłopski na pany" wydany przez prof. J. Kallenbacha. — Staraniem Gubrynowicza wyszło we Lwowie tłomaczenie życiorysu Grzegorza z Sanoka opracowanego przez Kallimacha; tłómaczenia dokonali uczniowie uniwersytetu lwowskiego. — Macierz Polska ostatnio wydała: dziełko Fr. Jaworskiego „Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka", rzecz o „księgach gruntowych" opracowana przez J. Wilusza i poezye Ferdynanda Kurasia: „Wiązanka z pod chłopskiej niwy".

Odwaga w życiu codziennem.

Ułożyć sobie życie według utartych zasad obyczajowych, jest bardzo trudnem zadaniem dla tych, którym zbywa na odwadze. Rzadko bardzo i to chyba przypadkowo udaje się człowiekowi, nie posiadającemu odwagi, nie uzbrojonemu należycie w gorliwość i wytrwałość — przeprowadzić w życiu to, co sobie najmocniej postanowił.

Kto drży przed ludzką naganą i po lada najmniejszem rozczarowaniu traci odwagę, kto nie nie może zapanować nad swemi ułomnościami i błędami, ten nigdy nie wzniesie się ponad siebie i zawsze będzie się krępował rzeczywistemi lub urojonemi granicami.

Nie każdemu z nas można się zdobywać na taką odwagę, jaką się męczennicy lub zdobywcy odznaczali, lecz każdy może i powinien zdobyć się na odwagę niezbędną w życiu codziennem.

Do nadzwyczajnych w tem życiu czynów powołanych jest bardzo nie wielu — lecz czyż nie jest o wiele zaszczytniej przejść przez życie z tysiącami jego codziennych walk i utrapień z dumnie podniesionem i pogodnem czołem, niż spełniać szybko jakiś ryzykowny, odważny czyn?

Miej odwagę pokonać samego siebie, swoje namiętności i nawyczki i odrzucić wszelkie wymówki, które tak łatwo na usprawiedliwienie twych czynów z pomocą przychodzą.

Miej odwagę wypowiadać, gdzie należy, twoje zdrowe zapatrywania i nie bądź pobłażliwym, gdzie widzisz fałsz, lecz wszelkiemi siłami zawsze pomagaj prawdzie na wierzch wypłynąć. Kto milczy na zło — jest jego wspólnikiem — a kto podnosi dobrą działalność i wskazuje na nią — sieje niejako ziarno podobne do dobrych czynów.

Miej odwagę przyznać się do popełnionego błędu lub do nieświadomej jakiejś rzeczy. Roztrząsając w ten sposób swoje sumienie, wyrobisz sobie szacunek i pójdziesz drogą prawdy i postępu.

Fałszywy wstyd, który zabija wszelką odwagę, wypływa z pychy lub tchórzostwa i jest bezpłodny, jak pusty kłos.

Miej odwagę znieść mężnie i z uśmiechem na twarzy to, co raz koniecznie doświadczyć będziesz musiał.

Miej odwagę raz jeszcze rozpocząć to, co ci przedtem się nie udało.

Miej odwagę przyznać się, że twoje środki nie pozwalają ci na zbyteczne wydatki, przez co odejmiesz sobie wiele goryczy, a zaoszczędzisz sobie wiele nieprzyjemności i upokorzeń.

Miej odwagę przekładać bardziej zdrowie i wygodę ponad przyjęte zwyczaje i wymysły nierozsądnej mody.

Miej odwagę traktować twych biednych, niepokaźnych przyjaciół serdecznie nie tylko, gdy sam z nimi jesteś, lecz i wtedy, gdy spotkasz ich w towarzystwie takich ludzi, którzyby cię za takie nieznajomości nawet mniej szanować mieli.

Miej odwagę poddawać wolę twoją pod odwieczne prawo chrześcianina — twoje wygody pod wolę bliźniego, twoje nawyczki ofiaruj obowiązkowi twego bliźniego i powołania.

A w końcu miej odwagę *wszędzie i w każdym otoczeniu być Polakiem i być dumnym z tego, że jesteś Polakiem; miej odwagę każdej chwili nieść pomoc nieszczęśliwej Ojczyźnie, z zaparciem się siebie, z poświęceniem choćby mienia i życia własnego.*

Wówczas łatwiej przejdziesz przez życie, bo nie trwożąc się nikim i niczem, staniesz się prawdziwie niezależnym i dobrym i pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Drobiazgi naukowe.

Powstawanie nowego lądu.

Niedawno temu mieli przyrodnicy sposobność obserwowania i dokładnego zbadania jednego z najbardziej interesujących geologicznych zjawisk w ostatnich latach. Było to powstanie nowej wyspy wskutek wybuchu podmorskiego wulkanu. Wyspa należy do grupy wysp Bogusława, przy powstaniu jej był obecny amerykański parowiec „Albatros". Jeden z uczestników ogłasza w „American Magazin" bardzo interesujące szczegóły z wyprawy.

Pierwsza z wysp Bogusława, położonych w cieśninie Behringa, poczęła się widocznie zwiększać od roku 1826. Później utworzyła się obok druga wysepka, nazwana Nowym Bogusławem, trzecia powstała w zimie 1886/87 r., wreszcie w r. 1905 pojawiło się nad powierzchnią morza wulkaniczne wzniesienie, które nazwano stożkiem Metcalf Perry. Stożek ten zniknął w lipcu 1908 r., w miejsce jego utworzył się wąski pas lądu, który połączył starą i nową wyspę Bogusława i zajmował przestrzeń około czterech mil angielskich. Skoro tylko nadeszły wiadomości o tem wulkanicznem przekształceniu się grupy wyspy, wysłano na miejsce parowiec „Albatros" celem obserwowania zjawisk. Dzięki temu znajdujący się na



Pokusy św. Antoniego.

jego pokładzie uczeni byli naocznymi świadkami tego jedynego w swoim rodzaju widowiska.

W pewnem miejscu oceanu — opowiada jeden z uczestników wyprawy — powierzchnia wody poczęła się piętrzyć wysoko i opadać. Odnosiło się wrażenie, że jakaś olbrzymia siła wyrzuca z głębin morza bańki powietrzne, które pękają wśród dymu i pary. Wybuch podmorskiego wulkanu stawał się z każdą chwilą coraz gwałtowniejszy, wydawało się, że może i niebo łączą się w jeden chaos; powierzchnia oceanu kipiała, wyrzucając kłęby dymu, niby piec olbrzymi. Coraz też częściej wykwitały z pośród fal słupy ognia, padały pociski lawy i bloków skalnych. Słup dymu rozciągał się na przestrzeni mniej więcej trzech mil angielskich, żar stawał się nie do zniesienia. Od czasu do czasu rozlegał się huk wybuchów, niby gigantycznych wystrzałów z niewidzialnych olbrzymich armat. Żar dokuczał bardzo załodze „Albatrosa“, odczuwano go w obwodzie 50 mil angielskich; także woda morska rozgrzała się na znacznej przestrzeni. Wieczorem zapłonęły na niebie krwawe refleksy, przyciemniane kiedy niekiedy chmurami dymu. Wyrzucone w górę

masy spadały w nieoziębionym stanie z sykiem i hałasem w fale morza, wzburzając fale do tego stopnia, że „Albatros“ kołysał się ciągle, jak mała łódka. Deszcz popiołu padał ciągle naokół. Wreszcie dookoła ognistego słupa poczęła się tworzyć ciemno-brunatna stała masa o nieregularnym kształcie.

Z zionącej żarem głębi wyłaniał się powoli nowy ląd. Lawa wypełniła przestrzeń między kraterem wulkanu a powierzchnią morza i wychyliła się ponad nią. I rosła coraz bardziej i bardziej wśród ciągłego wybuchu wulkanu, aż wreszcie krater znalazł się na wysokości 1000 stóp. Podczas przebiegu niezwykłego zjawiska zdjęto szereg fotografii. Nieco później zawinął do nowego lądu amerykański parowiec „Perry“. Załoga wysiadła, aby zatknąć na lądzie flagę amerykańską. Ziemia była jeszcze rozpalona, gdy w rozpadlinę skalną włożono termometr, rtęć tak gwałtownie się podniosła, że rurka pękła. Mimo grożących niebezpieczeństw zbadano powierzchnię nowej wyspy. Wybuch wulkanu trwał jeszcze przez czas pewien, potem krater obsunął się, powierzchnia się zrównała, ziemi przybył nowy kawał lądu stałego.

Nowy wynalazek Polaka.

Mimo niezwykle trudnych warunków, jakie napotykają w naszem społeczeństwie ludzie, chcący pracować samodzielnie i twórczo w dziedzinie techniki, będącej dziś niejako praktycznem zastosowaniem wiedzy do potrzeb życia codziennego, nie brak nam jest jednostek, które nie boją się podjęcia walki z przeciwnościami, wyrastającemi na każdym kroku jak grzyby z pod ziemi, i które śmiało kroczą naprzód, aż do zrealizowania przyświecającej im myśli. Brak wielkich zakładów przemysłowych, uniemożliwia Polakom rywalizacyę z zachodem Europy na polu technicznych postępów. Mimo to możemy być dumni, że nie brak nam jednostek, które mimo tych trudności od czasu do czasu na polu technicznem się odznaczają.

W rzędzie wynalazców polskich w ostatnich czasach stanął p. *Bronisław Głowiński*, kierownik fabryki maszyn rolniczych w Tarnopolu. Mając wiele pomysłów technicznych, zajął się ich zrealizowaniem. Zaczął więc pracę nad skonstruowaniem *saneczek motorowych,* nad rozwiązaniem tego problemu, nad którym od długich już lat pracuje szereg inżynierów-techników. Wśród tej masy pomysłów i modeli, sanki motorowe p. Głowińskiego zajmą bezsprzecznie jedno z pierwszych miejsc. Dotychczas odbyte próby udowodniły, że sanki te będą mogły zimą zupełnie dobrze zastąpić wóz motorowy. Motor o sile 2 i pół koni nadaje tym saneczkom zbudowanym jako model przez wynalazcę, chyżość 30 klm. na godzinę. Tylne koła zębate są tak założone, że można je odpowiednio wysoko do grubości śniegu nastawiać. Zęby czepiają się śniegu i puszczają sanki w ruch. Próby dotychczasowe udowodniły, że pod górę idą te sanki równie dobrze jak i po równi.

Należy się spodziewać, że w najbliższym czasie wynalazca zbuduje większy model i że zimy następnej, kwestya sanek automobilowych może być już definitywnie rozstrzygniętą.

Nie straszmy dzieci.

Do niezliczonych rozpraw wybitnych mężów nauki badających życie dziecka przybyła nowa, może jedna z najcenniejszych rozpraw włoskiego uczonego, Feriani. Traktuje ona zjawisko, zachodzące u każdego niemal dziecka, mianowicie uczucie strachu, jego przyczyny i następstwa.

Feriani twierdzi, iż lęk, zjawiający się u dzieci już w pierwszych początkach dzieciństwa, jest wynikiem tylko nieudolności wychowania, lekkomyślności i niedbalstwa rodziców. Następstwa takiego wychowania są fatalne, gdyż nietylko sprowadza ono choroby cielesne, ale i daleko gorsze choroby duchowe. Dlatego to uczucie strachu u dzieci powinno się wykorzenić zdrowym kierunkiem i nie dozwolić, aby dziecko kiedykolwiek uczucia strachu doznawało. Strach bowiem wyniszcza odwagę, energię, osłabia charakter i tworzy z dziecka samoluba, który z powodu lęku dbać będzie o własną tylko korzyść, nie bacząc na dobro drugich.

Głównym powodem powstania lęku u dzieci jest owo karygodne rozpieszczanie ich, wieczna obawa zbyt czułych rodziców, by się broń Boże dziecku co nie stało, wynajdywanie złego i niebezpieczeństw tam, gdzie ich niema i błędne nieraz przed nimi przestrzegania. W ten sposób dziecko poczyna się bać, matka zaś wmawia w nie tę obawę, która wrasta w organizm jego duchowy, lgnie doń, gdy już jest dorosłym człowiekiem i przechodzi z pokolenia na pokolenie, zatruwając swym jadem, czyniąc je niezdolnem do pracy żywiołem, wypaczając jego charakter.



Opowiadanie urlopnika.

Drugie niebezpieczeństwo zagraża dziecku wskutek denerwujących jaskrawych bajek, klechd, opowiadań, historyi o czarownicach, dyabłach, ludożercach, smokach, wskutek straszenia ich kominiarzami, dziadami itd., a wreszcie krzykiem i groźbą bicia. Mylą się bardzo ojciec czy matka, myśląc iż tym sposobem wymuszą na dziecku posłuszeństwo i karność. Środek ten jest zgoła bezskuteczny a tylko trwoży dziecko, odbiera mu spokój, męczy, rozstraja umysł, osłabia energię, płodzi obawę i lęk. Środek ten jest wprost straszny, bo jak wykazuje statystyka — z dzieci tych wyrastają zbrodniarze, mordercy i najgorszego gatunku przestępcy.

Cóż się bowiem dzieje? — Dziecko wysłuchawszy opowiedzianych bajek, wprawdzie zajmuje się niemi na razie, nie chce jednak już odtąd pójść samo spać, nie chce wejść do ciemnego pokoju, gdy wreszcie pod groźbą rodziców znajdzie się w swem łóżku, lub odważy się przynieść coś z ciemnego pokoju, tedy przebywa najokropniejsze chwile lęku.

Jak statystyka wykazuje, na 200 dzieci normalnych, przypada 125 ogarniętych trwogą — liczba zaś wzrasta coraz bardziej z każdem lat dziesiętkiem.

W cennej swej rezprawie Feriani przytacza odpowiedzi samych dzieci na zapytanie: *Czego się, dziecko, i dla czego obawiasz?*

I tak:

— Boimy się, bo w nocy jest ciemno.

Bo gdy grzmi, to djabeł wozem po chmurach jedzie.

Bo jesteśmy małemi.

Bo wiatr tak strasznie gwiżdże, jak człowiek.

Bo kominiarz dzieci zjada.

Bo, gdy nie zrobimy zadań, nie nauczymy się lekcyi, to nas djabeł porwie.

Bo w nocy krążą złe duchy.

Bo policyanci chwytają te dzieci do więzienia, które brudno ubrane.

Bo żołnierze przerażają niegrzeczne dzieci.

Bo zmora gryzie w nocy dziecko, które nie słucha rodziców.

Również ciekawe są odpowiedzi dzieci na pytanie: *Co to jest trwoga?*

— Trwoga — odpowiadają — jest to straszny żebrak o dziesięciu oczach, profesor grożący kominiarzem, ból wielki w piersiach, boleść, przed którą musi się uciekać, córka dyabła, siostra czarownicy, matka kominiarza, biało ubrana pani o dziesięciu rogach, zły duch, mieszkający w ciemnym pokoju, konieczność schowania się pod łóżko itd.

W każdej odpowiedzi tylko lęk, strach, nieuzasadniona trwoga.

Widzimy więc jakie straszne skutki pozostawia niedbałe wychowanie. Dziecko nieustannie się drażni, mózg doznaje ciągłych wstrząśnień, nastaje powoli brak siły, odwagi, niemoc fizyczna i moralna. I czy zastanawiać się trzeba długo nad pytaniem: jacy mężczyźni, i jakie kobiety wyrosną z tak niedbale wychowanych dzieci.

Niezwykłe sekty religijne w Rosyi.

Brak oświaty w Rosyi sprzyja ogromnie zachwaszczeniu życia rosyjskiego przenajróżnorodniejszemi sektami religijnemi, niektóre zaś z nich są poprostu potworne.

Najwięcej rozpowszechniona i licząca bardzo wielu zwolenników — to sekta joanitów. Ci ludzie mają za cel walczyć z antychrystem i wierzą święcie naprzykład, iż zmarły niedawno, głośny O. Joan Kronsztadzki był zesłanym z nieba na ziemię przez proroka Ilię, w tym celu, aby zebrawszy licznych zwolenników, przygotowywać ich do apostolstwa swej prawdziwej wiary. Po spełnieniu swego posłannictwa Joan Kronsztadzki zmarł, ale tylko cieleśnie, duchowo zaś został wniebowzięty.

Zacięta walka, jaką toczą joannici z antychrystem zostanie zakończoną przez proroka Ilię, który zstąpi na ziemię, aby bezpośrednio walczyć z antychrystem i naturalnie zwyciężyć. A wówczas straszne rzeczy dziać się będą na ziemi. Wszyscy ludzie, z wyjątkiem joannitów, zginą w przeraźliwych męczarniach piekielnych, a jeszcze surowiej będą sądzeni na sądzie ostatecznym.

Antychryst — według joannitów — najwięcej zagraża kobietom, z pośród których wybiera sobie narzędzie do niszczenia ludzkości, jak np. Tarnowską. W tym celu sprzymierzeńcy antychrysta uwodzą kobiety, a doprowadziwszy do ostatecznego moralnego wyuzdania, nadają im cechy demoniczne.

Potworną cechę niektórych sekt stanowią „nocne modły". Podczas ciemnej nocy „błogosławieni nauczyciele" spraszają swych zwolenników, wśród których wówczas najwięcej znajduje się kobiet, gdyż tylko w towarzystwie prawowiernych mężczyzn antychryst nie zna dostępu do nich. „Nocne modły" rozpoczynają się „śpiewami duchownymi", następnie bywa kazanie, po którem „pobożni" raczą się wódką.

A wtedy „nauczyciel" staje na środku pokoju a „wierni", ująwszy się za ręce, robią koło, poczynają się kręcić, przyspieszając tempo, nakoniec popadają w szał taneczny. Na dany przez „nauczyciela" znak światła gasną i rozpoczyna się najpotworniejsza orgia. Wszystko to się robi w celu uchronienia kobiet od napaści antychrysta!

Przywódcy tych sekt, ogłupiając swych wiernych, ciągną z nich szalone zyski pod pozorem wypędzania djabłów z ciała lub leczenia świętemi sposobami różnych chorób.

Jeszcze wstrętniejszą sektą jest powstała niedawno „Nowy Izrael". Wszyscy ci sekciarze są „braćmi", majątki posiadane są wspólne, a nawet i kobiety są uważane i traktowane jako wspólna własność. Małżeństwo kościelne jest uważane jako narzucone przez władzę, a więc zupełnie się z niem nie liczą.

I to się dzieje w XX wieku, w wieku elektryczności i statków napowietrznych!...

Transporty kwiatów.

Paryż jest miastem tranzytowem w handlu kwiatami. Codzień o 1-ej po południu przychodzi pociąg kwiatowy z Nizzy. Długi jest, nawet zimą, ale za nadejściem wiosny, przedłuża się jeszcze bardziej, a każdy wagon zapełniony pod dach wonnym ładunkiem. Kwiaty opakowane są bardzo starannie. Część — mniejsza pozostaje w Paryżu, reszta idzie dalej. Od listopada do maja przez Marsylję i Paryż wyprawiono z Riviery do Londynu 400,000 centnarów kwiatów. Popyt na kwiaty jest też wielkim w Niemczech i z każdym rokiem wzrasta.

Skrzynka Redakcyi.

— **Nov.** w War. List Wasz możemy dopiero w obecnym zeszycie umieścić. Powody i wszelkie szczegóły wyłuszczamy listownie.

— **D. S.** w Lub. Umieścimy niebawem.

— **Stan. Dob.** w Zak. Z relacyami, jakie WPan nam przesłał, zwróciliśmy się do czytelników miarodajnych; mamy nadzieję, że interwencya wiadoma będzie skuteczna. Jeno nie upadać na duchu!

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Baron Szatan się boi. Boi się nie o siebie, lecz o skarby, gromadzone z upartą namiętnością i bystrością amatora, którego najprzebieglejsi antykwaryusze nigdy oszukać nie zdołali. Baron kocha swe bibloty. Kocha je łakomie jak skąpiec, zazdrośnie jak kochanek. Każdego dnia, o zachodzie słońca, zaryglowują się żelazne bramy: dwie strzegą mostu, a dwie głównego wejścia.

Przy najlżejszym uderzeniu wśród ciszy drgają dzwonki elektryczne. Od strony Sekwany nie grozi nic: stroma skała broni dostępu.

Pewnego razu — było to w piątek we wrześniu — na szańcu przedmostowym, ukazał się listonosz. Stosownie do codziennego zwyczaju, sam baron uchylił ciężkich drzwi.

Od stóp do głowy obejrzał przybysza. Zdawałoby się, że po raz pierwszy w życiu widzi jego wesołą, poczciwą twarz i filuterne oczy. A znał je tak dobrze, od szeregu lat!

Ależ to ja, panie baronie — odezwał się listonosz ze śmiechem — ja sam we własnej osobie, nikt się nie przebrał w moją bluzę i czapkę.

— Co to można wiedzieć? mruknął Cahorn.

— Listonosz wręczył mu plikę gazet. Poczem dodał:

— Ale, panie baronie, jest coś nowego?

— Nowego?

— List... i to polecony.

Mizantrop, odsunięty od świata, baron nie miał przyjaciół ani bliższych znajomych. Z nikim korespondencyi nie prowadził. To też list wydał mu się odrazu wypadkiem złowróżbnym. Zaniepokoił się srodze. Cóż to za tajemniczy natręt zakłóca spokój jego kryjówki?

— Trzeba podpisać, panie baronie.

Podpisał, mrucząc jakieś przekleństwo. Potem wziął list, zaczekał aż oddawca zniknie na zakręcie, chodził przez parę minut tam i napowrót, wreszcie oparł się o poręcz mostu i zerwał kopertę. — Zwykły, kratkowany papier nosił u góry napis: „Z więzienia la Santé, w Paryżu“. Spojrzał na podpis: *„Arseniusz Lupin“*. Zdziwiony, czytał co następuje:

„Szanowny panie baronie

W galeryi, łączącej pańskie dwa salony, znajduje się obraz Filipa de Champaigne, który lubię ogromnie. Obrazy Rubensa też mi się podobają, mały obrazek Watteau niemniej. W prawym salonie zauważyłem kredens w stylu Ludwika XIII-go, dywany z Beauvais, stoliczek w stylu Empire, z marką Jacoba i duży kufer z czasów Odrodzenia. W lewej sali zasługuje na uwagę oszklona szafka z klejnotami i miniaturami.

Tymczasem zadowolnię się przedmiotami, które wymieniłem, i które, jak sądzę, łatwe będą do przewiezienia. Proszę więc najuprzejmiej, zechciej je Pan zapakować porządnie i, po opłaceniu kosztów przewozu, wyekspedjować na stacyę Batignolles, na moje imię, koniecznie przed upływem tygodnia... w przeciwnym razie bowiem będę zmuszony zająć się ich przewiezieniem osobiście, w nocy ze środy 27-go na czwartek 28-go września. Wtedy, oczywiście, wymagania moje będą większe.

Zechciej, szanowny panie, wybaczyć mały kłopot, który mu sprawiam, oraz przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku, z jakim pozostaję.

„Arseniusz Lupin“.

„P. S. Przedewszystkiem staraj się Pan nie omylić co do obrazków Watteau. Większego nie chcę. Aczkolwiek na licytacyi zapłaciłeś Pan za niego trzydzieści tysięcy franków, jestto tylko kopia. Oryginał spalony został za Dyrektoryatu przez Barrasa, podczas pewnej orgii. Możesz Pan to sprawdzić w niewydanych Pamiętnikach Garat'a.

„Nie zależy mi również na łańcuchu w stylu Ludwika XV-go: autentyczność jego wydaje mi się mocno podejrzaną“.

List ten wzburzył barona. Każdy inny podpis byłby go zaniepokoił, cóż dopiero nazwisko Arseniusza Lupin.

Czytając dzienniki od deski do deski wiedział dokładnie o wszystkiem, co się dzieje w świecie, nie wyłączając kroniki wypadków. Prawda, wiedział również, że Arseniusz Lupin, uwięziony w Ameryce przez Ganimarda, osobistego wroga, strzeżony był wyjątkowo starannie; że obecnie rozpoczęto — z jakiemi trudnościami! — badania przedwstępne, odnoszące się do jego procesu. Lecz wiedział też, że dla Arseniusza Lupina niema rzeczy niepodobnych.

Zresztą, dokładna znajomość zamku, rozmieszczenie mebli i obrazów była wskazówką niesłychanie groźną. Kto mógł mu udzielić tak dokładnych wiadomości o przedmiotach, których niczyje oko nie oglądało?

Podniósł, oczy i długo patrzył w milczeniu na dziką przyrodę Malaquis. Patrzył na skalną podstawę zamku, na rzekę płynącą u jej stóp.

Patrzył i wzruszał ramionami. Nie, stanowczo niebezpieczeństwo nie istniało. Nikt na świecie nie zdoła przeniknąć do sanktuaryum, gdzie umieścił swe skarby.

Nikt — być może — lecz Arseniusz Lupin! Czyż dla niego istnieją zamki, drzwi, mosty zwodzone, ściany, mury? Na cóż się przydadzą wszelkie, najlepiej obmyślone przeszkody, najsprytniejsze środki zapobiegawcze, jeżeli Arseniusz Lupin coś sobie postanowił?

Tego samego wieczora baron napisał do prokuratora Rzeczypospolitej w Rouen. Załączał list Arseniusza Lupin, wzywając pomocy i opieki.

Odpowiedź nadeszła niezwłocznie: wobec tego, że człowiek, nazywający się Arseniuszem Lupin, znajduje się obecnie w więzieniu la Santé pod najściślejszym dozorem i pozbawiony jest możności pisania, list załączony przez barona, jest najzwyklejszą mistyfikacyą. Wszystko zatem przemawia: logika, zdrowy rozsądek, wreszcie same fakty.

Jednakże list posłano do zbadania.

Ekspert orzekł, iż pomimo pewnych cech podobieństwa, pismo nie jest pismem więźnia.

„Pomimo pewnych cech podobieństwa“ te trzy straszne słowa utkwiły w umyśle barona. Bądź co bądź świadczyły one o niejakich wątpliwościach.

W jego mniemaniu wystarczało to w zupełności, aby w sprawę wdała się policya. Obawa barona graniczyła z rozpaczą. List odczytywał nieustannie.

„Zajmę się osobiście ich przeniesieniem“. Termin podawał tak dokładny: noc ze środy 27-go na czwartek, 28-go września.

Podejrzliwy i zamknięty w sobie nie miał odwagi zwierzyć się służącym: niedowierzał ich przywiązaniu.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat uczuwał potrzebę rozmowy, zasięgnięcia rady. Opuszczony przez władze stracił nadzieję w możność obrony własnemi siłami, postanowił nawet udać się do Paryża i żądać pomocy od jakiegoś znanego detektywa.

Upłynęły dwie doby. Trzeciego dnia, czytając dzienniki, zadrżał z radości. „Reveil de Caudebec“ podawał wiadomość następującą:

„Blizko od trzech tygodni mamy zaszczyt gościć w swych murach inspektora policyjnego Ganimarda, jednego z najszanowniejszych weteranów w służbie bezpieczeństwa publicznego. Pan Ganimard, który ujęciem Arseniusza Lupin zdobył sobie sławę europejską, odpoczywa po trudach, szerząc popłoch wśród kiełbi i płotek“.

Ganimard! Oto pomocnik, jakiego potrzebował baron!

Któż lepiej od chytrego i cierpliwego Ganimard'a potrafi obrócić w niwecz projekty Arseniusza Lupin?

Baron nie wahał się ani chwili. Sześć kilometrów dzieliło zamek od miasteczka Caudebec. Przebył je szybko, jak człowiek podniecony nadzieją ratunku.

Po kilku bezowocnych próbach odnalezienia adresu głównego inspektora skierował się do biura gazety „Réveil“, położonego przy ulicy Nadbrzeżnej. Zwrócił się do redaktora z zapytaniem o sławnego agenta.

— Ganimard! — zawołał redaktor, zbliżając się do okna — możesz pan go spotkać każdej chwili na ulicy Nadbrzeżnej, z wędką w ręku. Tam zawarliśmy znajomość. Wyczytałem przypadkowo jego imię, wyryte na wędzisku. Patrz pan, tam pod drzewami przechadza się staruszek.

— W surducie i słomianym kapeluszu?

— Tak, tak! Co za komiczny typ! Bardzo nietowarzyski, mruk.

W pięć minut później baron zbliżał się do sławnego Ganimard'a. Przedstawił się i próbował zawiązać rozmowę.

Widząc, że mu się to nie udaje, przystąpił do rzeczy otwarcie.

Ganimard słuchał, nieruchomo wpatrzony w pływak, kołyszący się na fali. Potem odwrócił się, zmierzył barona od stóp do głowy wzrokiem pełnym głębokiej litości i rzekł:

— Szanowny panie! Zazwyczaj nie uprzedza się ludzi, których się ma zamiar ograbić. Tymbardziej Arseniusz Lupin nie popełniłby podobnego głupstwa.

— Jednakże...

— Gdybym miał cień posądzenia, wierzaj mi pan, rzuciłbym wszystko, byle tylko módz wpakować pod klucz kochanego Lupin'a. Nieszczęściem jednak młodzieniec ten siedzi już w ciupie.

— A jeżeli się stamtąd wymknie?

— Nie tak łatwo uciec z la Santé.

— Ba, lecz on...

— On taki sam człowiek jak inni.

— Jednakże...

— Ha, jeżeli się wymknie, tem lepiej. Pochwycę go znowu. Tymczasem śpij pan spokojnie i nie płosz mi kiełbi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR. 15

(Ciąg dalszy.)

KSIĘGA V.

Ameryka.

Od chwili, gdy się oddalone brzegi Nowego Jersey ukazały i coraz wydatniejszemi stawały nawet dla niewprawnych oczów, cały dzień prawie w niecierpliwem wypatrywaniu lądu upłynął.

Ale to, co teraz widzieli i rozpoznawali podróżni, jakże ubogo wydawało się przy snach ich i marzeniach o olbrzymich górach, dziewiczych lasach, majestatycznej naturze świata nowego!

Wszyscy spodziewali się wspaniały ujrzeć krajobraz rozmiarów wielkich, a oczy i perspektywy ukazywały im nagie ławy piasczyste... brzegi puste i płowe, ledwie znaczne, gdzieś w głębi nieco podnioślejsze wzgórza Nervill i górującą nad niemi, mało widoczną Mitchill.

Smutne to było pustkowie spalone, bez życia i wdzięku.

— Coś mi ta Ameryka wcale na złotodajną ziemię, płynącą mlekiem i miodem nie wygląda... — mruczał Girod.

Pułaski wpatrywał się obojętnie. — Cóż mu było po piękności Ameryki!

Leclerc bacznie rozglądał się po morzu, szukając żagli angielskich, ale na szczęście Ludwiki, burza w istocie porozpędzała je daleko, można więc było bezpiecznie do brzegów się dostać.

W oczekiwaniu rychłego wylądowania zbierał każdy co miał, wszyscy niecierpliwi, spragnieni siedzieli już na powiązanych tłomokach, nie zchodząc z pokładu.

Ziemia w miarę ich żądań, niekiedy odsuwać się zdawała, patrzeli na nią, dosięgnąć nie mogli, brzeg wydawał się bliskim, oko rozpoznawało coraz lepiej dymiące w rozdołach ogniska... daleko w głębiach czerniejące lasy.

Ale spustoszenie wojną objawiało się w opuszczonych prawie wybrzeżach.

Słońce już zachodziło jaskrawo, gdy nareszcie statek znalazłszy sternika i łódkę przewodną, doprowadzony został do ujścia Delawary. Zjawiły się barki i czołna do przewiezienia podróżnych, spieszących do upragnionego lądu.

Od nich dowiedzieli się, że angielskich statków na teraz nie było w pobliżu.

Maleńka osada z kilku na prędce skleconych szałasów i lepianek złożona, przy której wylądo-

wali, wyglądała ubogo, nędznie ze swemi chatkami ogołoconemi z zieloności, na wydmie piasczystej zasianej drobnemi kamykami, któremi brzegi wyścielało morze.

Znać było, że mieszkańcy nie byli pewni swych siedzib, że nie mieli czasu ani ochoty, niczem ich ozdabiać i utrwalać.

Cała okrążająca okolica dosyć płaska, smutna i jednostajna, zwiększała wrażenie przykre wylądowujących.

Girod mimowolnie porównywał piaski i moczary do nagich brzegów południowej Francyi około Cette i Mont pellier.

Już od swoich przewoźników dowiedzieli się podróżni, że wojska Washingtona i obóz jego w głębi kraju o mil jakie dwadzieścia od miejsca tego się znajdowały... trzeba było nieznanym krajem, zawichrzonym, z przewodnikami niepewnemi do nich się przedzierać.

Pierwsze twarze mieszkańców nowej ziemi, mowa ich, obejście się tak różne od spotkanych dotąd na stałym lądzie Europy, zwiastowały istotnie świat nowy.

Mogło się zdawać podróżnym, że nie na drugą półkulę — ale w inne prastare wieki się cofnęli.

Coś szorstkiego, dzikiego patrzało z oczów, wiało z ust tych ludzi twardych, milczących, obojętnych na pozór, zamkniętych w sobie, energicznych i nie garnących się wcale do przybyszów, na których nawet bez ciekawości młodzieńczej spoglądali.

Trudno było wybadać ich usposobienia, bo ciężko dobyć i słowo, żaden entuzyazm nie objawił się na zewnątrz, ledwie we wzroku ostrym lub szyderskim myśl się jakaś niezrozumiała zdradzała.

Gaskończyk ujmujący, gdy tego widział potrzebę, napróżno próbował ująć ich, zaćmić wymową, poruszyć dowcipem, obałamucić samochwalstwem, nikt na niego zważać i mówić z nim nie chciał.

Można było wnosić z tego milczenia i zamknięcia się, że ludzie ci należeli do licznych w początku dosyć stronników przejednania, i powrotu pod angielskie rządy z pewnemi ustępstwy z ich strony, ale minęły już były te chwile, gdy Washington miał z nimi do walczenia i przyjaciół tych Anglii nie w tej warstwie narodu szukać było potrzeba.

Ostatnie wypadki 1777 roku zaczynały coraz widoczniej szalę zwycięstwa przechylać na stronę dobrej sprawy.

Nie było wielkich i stanowczych korzyści, ale ogólny tok rzeczy wskazywał, że walka wypadnie pomyślnie dla niepodległych stanów. Geniuszowi i niezmiernej wytrwałości Washingtona winna była Ameryka to zwycięstwo, zrazu prawie do wiary niepodobne, gdyby nie pycha Anglii, nadzwyczajna opieszałość i nieudolność jej wodzów, jak Hawe i Burgoyne.

Pierwszy z nich już czasu wojny zyskał był sobie sławę najnieudolniejszego wodza, jakiego kiedykolwiek zapamiętały dzieje.

Ufna w swe siły olbrzymie, w potęgę floty niezwyciężonej, w posiłki, które w tej chwili spodziewała się ściągnąć z Kanady, we współczucie „przyjaciół porządku i pokoju“ zrazu dosyć licznych, a odradzających się po każdej klęsce Washingtona; ufna w nieład i niedostatek armii nieregularnej, rekrutowanej mozolnie, na krótko a nieprawnej, często pozbawionej amunicyi i najpierwszych potrzeb do życia; — Anglia jeszcze walczyła pewna zwycięstwa, nie szczędząc ofiar. Odzyskanie kolonii zdawało się niewątpliwem, ale było kwestyą czasu, nikt jeszcze nie przypuszczał, że mogło też być i kwestyą roli Francyi... jej przymierza lub obojętności.

Ale wśród samej wojny, od czasu ogłoszenia niepodległości, sprawa ta, z początku niby domowa kłótnia familijna, przybrała wcale niespodziewane rozmiary, zolbrzymiała, rozrosła się.

Opinia publiczna Europy z zapałem młodzieńczym wzięła ją w opiekę.

Przy tem usposobieniu umysłów, jakie panowało w końcu XVIII wieku spragnionego reform, żądnego utopij, bo czującego wielki moralny społeczności upadek — sprawa wojny o niepodległość, będąca sprawą jednej z głównych zasad, zapisanych na sztandarze wieku — swobody! — musiała świat roznamiętnić.

Szczególniej Francyą, która się, bodaj we krwi obmyć pragnęła z brudów, otrząsnąć z dławiącego i żrącego ją despotyzmu, z demoralizacyi trądem i zgnilizną przejadającej rodzinę i podkopującej narodowy byt przyszłości.

Podwoił się ten zapał szlachetny we wszystkich, gdy jako przedstawiciel Ameryki przybył do Europy, ów staruszek, idealny samouk, geniusz nieszlifowany, śmiały, dzielny a szorstki nieco, coś wieśniaczego mający w sobie, i tę oryginalność, co pociąga ludy, fantazyą rządzące się jak Francya.

Mówimy o Franklinie, owym wyrobniku w szarej kapocie, poważnym jak król a prawdomownym jak kapłan. Był on dla Francyi takiem zjawiskiem, jak dla Rzymian ów wieśniak naddunajski.

Szczęśliwym narodom Bóg daje w porę takich przedstawicieli, co nawet słabościom ludu i wieku są sympatyczne.

To co było istotnie wielkiem w Franklinie i co w nim było tylko oryginalnem a prostaczem; równie się przyczyniało do uwielbienia go. Życia jego surowość, mowy nie wykwintność, moralność jasna i prawa, na ostatek i ów — piorun niebu wyrwany!

Tak w porę, aby z nim zjawić się we Francyi.

Był to pewnie najlepszy apostół wolności, jakiego widziano od wieków — bo czysty, zacny, spokojny, nie wynoszący się z niczem... prawdziwy; prawdę zaś i ci szanują i cenią, którzy sami się na nią zdobyć nie mogą.

Naówczas to Francya arystokratyczna, pańska ale postępowa, pełna entuzyazmu, dała Ameryce z łona swego Lafayett'a dwudziestoletniego zapaleńca, świeżo ożenionego ze śliczną hr. de Noaille, bogatego, wykształconego, swobodnego, a dla wolności kwiat życia niosącego na ofiarę.

Lafayette szedł bić się za wolność obcego narodu, czynem tym uznawał on i jego wielbiciele wspólność obowiązków całej ludzkości, jej braterstwo.

Czyn ten pojedyńczego, ale wydatnego człowieka, rozgłoszony szeroko, zaraźliwy swą pięknością, bohaterstwem, jak wiele innych okoliczności pomyślnych, dźwigał sprawę Ameryki. Sama Anglia czuła się sparaliżowaną w walce, upokorzona nią

Po ogłoszeniach Burgoyn'a, które przypominały często odezwy posłów moskiewskich w Polsce, dyktowane przeciw konfederatom — nastąpiły ciche próby zgody.

Washington nie odrzucając ich zrazu, uznał niemożliwemi, poznawszy ich warunki i odepchnął.

Postanowiono walczyć.

Anglicy zwyciężali, kongres i Washington zniósł klęski, nie dając się zastraszyć niemi. — Niezmordowana praca, wola niezłomna wielkiego męża wkrótce się też wynagradzać zaczęły, ale drogo okupywano małe powodzenia. — Ileż razy ten oswobodziciel ojczyzny jako zdrajca, jako nieudolny wódz, prześladowany był i dręczony, ile pokątnych doniesień i obelżywych zniósł zarzutów! Kongres, który się niemi pokonać nie dał, ma także wielką zasługę.

Mozolnie szła walka o niepodległość, nie było w niej owych wielkich, stanowczych bitew starego świata, które losy państw rozstrzygają w kilku godzinach na krwawem pobojowisku; daleko trudniejszy bój codzienny, często nieszczęśliwy a wytrwały, wiążący się szeregiem klęsk pozornych, nieuniknionych omyłek — a ostatecznie łamiący nieprzyjaciela nieustannością swoją.

Takie było położenie wojsk angielskich w Stanach Zjednoczonych w tym roku. Posuwały się one w głąb kraju, mozolnie torując sobie drogi wśród pustyń, zawałów, rozlewów, poniszczonych dróg, ogłodzonych obszarów, przez nędze i bezludzie.

Dezercya w najemnem wojsku się zwiększała, partyzanci zuchwali chwytali generałów angielskich we własnych ich namiotach z pośrodka wojsk.

Zaciągnięte pod sztandary Anglii plemiona dzikie łupiły własnych sprzymierzeńców obozy, indyjskie posiłki obracały się przeciw wspólnikom; zniechęcenie, znużenie, niepowodzenia nużyły.

W miarę, jak wojska W. Brytanii słabły, Washington zwolna wzrastał w siłę i najmniejsze zwycięstwo przyczyniało mu obrońców, jednało umysły, sporzyło ochotnika.

Europa też niemało go dostarczała. Z Francyi szczególniej napływ był tak wielki, ale tak różny, że już Lafayette przybyły walczyć za wolność — z trudnością mógł być przyjętym w szeregi jej obrońców. — musiał się ofiarować jako żołnierz, prosty ochotnik, ze służbą o własnym koszcie. — Kongres się wahał czy przyjąć ofiarę.

Washington i on rozumieli to dobrze, że swobody najemnikami się nie zdobywa, że na ludzi, co pędzą szukać chleba za krew, nie wiele rachować można.

Ameryka pragnęła sobie samej zawdzięczać wolność swoją.

Na kilku takich jak Kościuszko, Lafayette, La Roche du Termois, du Portail i Duplessis Mauduit — iluż przypływało gaskonów, jak Girod, awanturników głodnych, którym powierzać dowództwa sama ostrożność nie dopuszczała.

Usposobienie więc Washingtona, wodzów i kongresu dla nowych przybyszów, w chwili gdy Pułaski z towarzyszami wylądowywał u ujścia Delawary, wcale im nie było przyjaznem; lękano się raczej tych posiłków niż ich pożądano. Nowy

świat czuł, że uwłaczającem dlań było szukać dowódzców u obcych.

W tak nieprzyjaznej chwili garstka naszych wędrowców, wyszukawszy środki dostania się do obozu, puściła się ku Wilmingtown; przez nieznany, dziwny i zdumionym oczom z nową naturą przedstawiający się świat nowy.

Po pustynnych, piaszczystych, spalonych wybrzeżach, zwolna zapuścili się w tajemnicze głębiny kraju.

Przebywszy wydmy suche nadmorskie i słone jeziorka, przybierały one coraz wyrazistszą fizyognomią.

Tu czuli się otoczeni naturą inną, potężną, wykwitającą kształty nieznanemi z siłą młodzieńczą, której skarlała i ostygła Europa nie mogła dać wyobrażenia.

Droga wiodąca do Wilmingtown wkrótce wprowadziła ich w mokre rzek zbiegowiska, jeziora i moczary, gęsto cyprysami zarosłe. Nie płoszony zwierz dziki zrywał się z pod nóg przechodniów; nad głowami ulatywało zdumione ptastwo pomalowane we wszystkie tęczy kolory. Ukazywały się nareszcie wybujałe, poplątane lasy, pierwsi mieszkańcy tej ziemi, pnące się ku niebu śmiało, oczepione wieńcami roślin, okryte więzami wina dzikiego, z czołami strojnemi w wonne ogromnych kwiatów bukiety. U nóg ich gnijące cedrów olbrzymich kłody, rozmiarem swym pisały dzieje wieków, które przeżyły.

Wszystko tu było podziwem i zachwytem, choć często i kraj własny się przypominał niespodzianie.

Nieraz podróżni stali wpatrując się, rozpoznając klony, jodły i sosny, rodzone siostrzyce tych, za któremi tęsknili na drugiej półkuli.

Karol szczególniej z młodzieńczą żywością podziwiał, cieszył się, unosił; dla niego był to kraj snów i powieści, nagle różczką czarodziejską stworzony.

Ta cisza lasów, te cienie czarne ich wnętrzów, w które rzadko złoty promień słońca wsuwał się pręgą jasną, te poczepiane girlandy lijanów, kwiaty jaskrawe na drzewach niebotycznych, woń, którą poiło powietrze — składały się w istocie na dziwne jakby marzenie.

Ale podróż miała tyle trudności co uroków, trzeba się było przedzierać przez nieprzebyte gąszcze, kolcami dzikich Yuk najeżone, przez grzązkie zalewy, kłody obalone burzami, siedliska wężów i knieje, z których gałęzi patrzały ślipia zaczajonych żbików i kotów.

Mało tu było śladów człowieka, który z tych obszarów niezmiernych, cząstkę ledwie mógł opanować.

Gdzieniegdzie przejście Indyan, pochody wojsk, zostawiły po sobie zgliszcza osad, okopcone pale Yukki i splądrowane plantacye, na których już chwasty bujały.

Kilka dni przedzierając się przez wilgotne zarośla cyprysów, przez zastępy puszcz ciemne, brzegiem rzek, które przerzynały kraj ten siecią gęstą — zbliżyli się wreszcie ku północnej części Delawary, wznioślejszej, dzikszej, skalistszej.

Tu pomiędzy dwoma rzekami Christianą i Brandywin, w pięknem położeniu, na wzgórzu ukazał się Wilmingtown: a pod tą, naówczas niezbyt rozległą mieściną, rozłożony obóz Washingtona.

Gdy przewodnik wskazał im nareszcie ten cel podróży, było to rankiem pochmurnym i dżdżystym; znużenie i słota osmutniały nietylko krajobraz ten wdzięczny w dni jasne, ale i ludzi... i dusze.

Pod miasteczkiem, ledwie na to nazwanie zasługującem, licho i niepozornie przedstawiał się wojskowym europejczykom obóz ten wolnych ochotników.

Rogowski, jak zwykł był wszystko do Polski porównywać, tak i amerykańskie obozowisko znajdował podobnem do lichej mazowieckiej wioski.

Z poza na prędce usypanych wałów na trzebieży widać było znaczną przestrzeń, zajętą gęsto plecionemi z chrustu szałasami, do nędznych w istocie chat podobnemi. Ponad tem niebo chmurne, szaruga, ziemia od deszczów przesiąkła błotnista, dodawały widokowi smętnego wyrazu

Śmiały się tylko wzgórza lesiste i szumnie bieżące wody dwóch rzek, stanowiących ramy obozu.

Pierwsi też rycerze niepodległości, których spotkali na placówce, nie byli podobni do tych bohaterów, których sobie wyobraźnia stwarzała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Czy już?

— Naturalnie.

— Ah! prawda — szepnął młodzieniec — zapomniałem, że pan Morand ma wrócić wieczorem z Rambouilet, a to już właśnie i wieczor.

— Czy znowu? — rzekła.

— Dla czegoż więc niedawno tyleś pani wychwalała przede mną pana Morand? — powiedział Maurycy. — Właśnie pani w tem wina.

— Od kiedyż to — spytała Genowefa — przed ludźmi których poważamy, nie wolno nam objawiać zdania naszego, o ludziach równego godnych szacunku?

— I w tej chwili, zbyt żywy szacunek zapewne przyspiesza kroki pani, z obawy spóźnienia się o kilka minut.

— Jesteś dziś okrutnie niesprawiedliwy, panie Maurycy; czyliżem nie przepędziła z tobą większej połowy dnia?

— Masz pani słuszność, w istocie zbyt jestem wymagający — powiedział Maurycy puszczając wodze swej porywczości. — No, chodźmy obaczyć pana Morand, chodźmy.

Genowefa uczuła, że gniew przechodzi jej z głowy do serca.

— Tak jest — rzekła — chodźmy obaczyć pana Morand. On przynajmniej jest prawdziwym moim przyjacielem, który mi nigdy jeszcze nie sprawił żadnej przykrości.

— Cóż to za nieoszacowany przyjaciel — powiedział Maurycy dusząc się z zazdrości — o jakże pragnąłbym mieć podobnych.

W tej właśnie chwili weszli w wielką drogę. Niebo się czerwieniło; słońce zaczynało znikać odbijając ostatnie swe promienie od złoconych kopuł kościoła inwalidów. Pierwsza gwiazda, co już pewnego wieczora zwróciła na się spojrzenia Genowefy, błyszczała na płynnym lazurze nieba.

Genowefa z pełnym rezygnacyi smutkiem puściła rękę Maurycego.

— Dla czegoż więc sprawiasz mi pan tyle cierpienia? — spytała.

— Ah! — odrzekł Maurycy — dla tego, żem nie tyle zręczny jak drudzy moi znajomi; dla tego, że nie umiem rozbudzić miłości ku mej osobie.

— Maurycy! — seryo powiedziała Genowefa.

— O! pani, jeżeli on ciągle dobry, ciągle jednaki, to dla tego, że nie cierpi.

Genowefa wsparła znowu swą białą rękę na silnem ramieniu Maurycego.

— Proszę cię — rzekła wzruszonym głosem — nie mów już nic więcej.

— A to dla czego?

— Bo głos twój boleść mi sprawia.

— Tak więc wszystko się pani we mnie niepodoba, bo nawet i głos?

— Milcz, zaklinam cię.

— Będę pani posłysznym — rzekł rozgorączkowany młodzieniec prowadząc ręką po wilgotnem od potu czole.

Genowefa przekonała się, że Maurycy cierpi w rzeczy samej.

— Jesteś moim przyjacielem Maurycy — rzekła patrząc nań z niebiańskim wyrazem — przyjacielem bardzo mi drogim: spraw więc, abym nie postradała tego przyjaciela.

— O! niedługobyś go pani żałowała — zawołał Maurycy.

— Mylisz się — przezwała Genowefa — żałowałabym cię długo, zawsze...

— Genowefo! Genowefo! — zawołał Maurycy — miejże litość nademną.

Genowefa zadrżała.

Maurycy, po raz pierwszy z takiem czuciem imię jej wymówił.

— Dobrze więc — mówił dalej Maurycy — kiedyś mię odgadła, pozwólże niech ci wszystko wyznam, gdyż chociażbyś zabić mię miała twym

wzrokiem... zbyt już długo milczę; będę więc mówił Genowefo.

— Panie — odezwała się młoda kobieta — zaklinam cię na przyjaźń naszą abyś milczał; błagam cię jeszcze raz, uczyń to dla mnie, jeżeli już nie dla siebie samego. Na miłość boską, ani słowa więcej, ani słowa!

— Przyjaźń! przyjaźń! Ah! jeżeli podobną jak dla mnie, żywisz pani i dla pana Morand, gardzę zatem taką przyjaźnią Genowefo: ja więcej wymagam jak inni.

— Dosyć już tego — z dumą powiedziała pani Dixmer — dosyć panie Lindey; oto nasz pojazd, racz mię pan odprowadzić do mego męża.

Maurycy drżał z febry i wzruszenia; i gdy Genowefa idąc do powozu, o kilka już kroków stamtąd stojącego, wsparła swą rękę na jego ramieniu, zdawało mu się, że ta ręka była w płomieniach.

Oboje wsiedli do pojazdu.

Genowefa umieściła się w głębi, Maurycy na przodzie. Przebyli cały Paryż, a żadne ani słowa nie wymówiło.

Genowefa przez całą drogę trzymała chustkę przy oczach.

Gdy przybyli do domu, Dixmer zajęty był w swojej roboczej izbie; Morand tylko co wrócił z Rambouillet i właśnie przebierał się.

Genowefa wchodząc do swego pokoju podała rękę Maurycemu mówiąc:

— Żegnam cię Maurycy; bo sam tego pragnąłeś.

Maurycy nic nie odpowiedziawszy, zbliżył się do kominka, nad którym wisiała miniatura Genowefy; z zapałem ją ucałował, przycisnął do serca, zawiesił na swojem miejscu i wyszedł.

Wrócił do swego mieszkania sam nie wiedząc jak się to stało; przebiegł Paryż nic nie widząc ani słysząc; zaszłe wypadki upłynęły dla niego jak sen, tak dalece, że nie mógł sobie zdać sprawy, ani ze swych czynów, ani ze słów, ani z uczucia co je natchnęło.

Jak powiedzieliśmy, Maurycy, wracając do siebie, biegł raczej niż szedł; rozebrał się bez pomocy służącego, nie odpowiedział kucharce, która zapraszała na przygotowaną wieczerzę; ale biorąc ze stołu listy, które w dzień przyniesiono, odczytał je po kolei, nie rozumiejąc żadnego. Mgła zazdrości, upojenie rozsądku, jeszcze się nie rozproszyła.

O godzinie dziesiątej, Maurycy położył się, czyniąc to równie machinalnie, jak wszystko co czynił od czasu rozstania się z Genowefą.

Gdyby w chwilach zimnej krwi Maurycego, opowiadał mu kto o tak dziwnem jego postępowaniu, Maurycy byłby się zaparł samego siebie i zapewne nie byłby mu wierzył, lecz nazwał szaleńcem człowieka, który dopuścił się tak rozpaczliwego czynu, zwłaszcza, że nie upoważniała go do tego ani zbyt wielka ostrożność, ani zupełna ufność Genowefy. Czuł tylko, że zadał straszny cios nadziejom, z których nigdy nawet nie zdawał sobie rachunku, i które mimo całej swej próżności, dźwigały na sobie wszelkie jego marzenia o szczęściu, marzenia podobne do nieuchwytnej pary unoszącej się bezkształtnie nad horyzontem.

Jakoż Maurycy doświadczył tego, co zawsze w podobnych razach ma miejsce: ogłuszony doznanym ciosem, usnął natychmiast skoro się poczuł w łóżku, albo raczej leżał jak głaz aż do rana.

Obudził go jednak szmer, którego narobił służący otwierając drzwi. Według zwyczaju przychodził on poodmykać okna w sypialnym pokoju Maurycego, dla wpuszczenia świeżego powietrza z ogrodu i ustawiał kwiaty.

W roku 93 pielęgnowano mnóstwo kwiatów i Maurycy lubił je bardzo, ale teraz ani nawet spojrzał na nie, lecz na wpół siedząc oparł na dłoni ociężałą głowę i przypominał sobie wczorajsze wypadki.

Zapytał sam siebie z jakich powodów był w tak złym humorze i nie mógł znaleść na to odpowiedzi

Pamiętał, że zazdrościł Morandowi, lecz poznał, że niewczesną obrał chwilę do bawienia się zazdrością, gdyż człowiek ten był w Rambouillet, a zostając sam na sam z ukochaną kobietą, można cieszyć się tem sam na sam z całą słodyczą jaką w koło siebie rozlewa przyroda obudzająca się w pierwszych dniach pięknej wiosny. Nie zazdrość więc była powodem jego złego humoru.

Nie było to także niedowierzanie temu co miało miejsce w Auteuil, dokąd towarzyszył Genowefie i gdzie bawiła całą godzinę.

Nie, myśl ta, że Morand kocha Genowefę, dręczyła go nieustannie, jak niemniej szczególne urojenie, szczególna kombinacya kaprysu, że wspólnik Dixmera ani gestem, ani spojrzeniem, ani słowem nie nadał nawet pozoru rzeczywistości takiemu przypuszczeniu!

Głos służącego wyrwał go z marzenia.

— Obywatelu — mówił tenże pokazując Maurycemu otwarte listy, które leżały na stole — czyś

wybrał niektóre do schowania, lub czy mam wszystkie spalić?

— Co spalić? — spytał Maurycy.

— Listy, które wczoraj czytałeś obywatelu, kładąc się spać.

Maurycy nic tego nie pamiętał.

— Spal wszystkie — powiedział.

— Oto dzisiejsze, obywatelu — rzekł lokaj podając Maurycemu paczkę listów, a drugie niosąc do kominka.

Maurycy wziął podaną sobie paczkę, uczuł lak pod palcami i zdało mu się, że go owiewa jakaś woń przyjazna.

W liczbie tych listów znalazł jeden z pieczątką i nadpisem na których widok zadrżał.

Człowiek ten, tyle silny w obec wszelkiego niebezpieczeństwa, zbladł poczuwszy zapach listu.

Służący widząc w nim tak nagłą zmianę, zbliżył się pytając co mu jest; ale Maurycy zamiast odpowiedzieć, drzwi mu wskazał.

Potem obracając na wszystkie strony ów list, bo przeczuwał że mu niesie nieszczęście; zadrżał jakby na widok nieznajomej osoby.

Wkrótce jednak uzbroił się w całą swą odwagę, otworzył go machinalnie i przeczytał co następuje:

„Obywatelu Maurycy!“

„Musimy zerwać węzły, które ze strony twojej, zagrażają przekroczeniem granic przyjaźni. Jesteś, obywatelu, człowiekiem honoru, kiedy więc noc cała przedzieliła zaszłe między nami wczoraj wypadki, sądzę że pojmujesz, iż odtąd bytność twoja w domu naszym stała się niepodobieństwem. Liczę na ciebie, że znajdziesz jakikolwiek sposób usprawiedliwienia się z tego przed mężem moim. List do pana Dixmer, który zapewne dziś jeszcze przysłać zechcesz, przekona mię, że żałować winnam nieszczęściem zbłąkanego przyjaciela, którego jednak dla wszelkiej przyzwoitości towarzyskiej więcej widywać nie mogę.

Żegnam na zawsze,

Genowefa.“

„P. S. Oddawca czeka na odpowiedź.“

Maurycy przywołał służącego.

— Kto przyniósł ten list? — spytał.

— Jakiś obywatel komisant.

— Czy czeka?

— Tak jest.

Maurycy nie westchnął, nie namyślał się. Wyskoczył z łóżka, ubrał się nieco, siadł przy biórku i wziąwszy pierwszy lepszy arkusz papieru napisał:

„Obywatelu Dixmer!

Kochałem cię i kocham jeszcze, ale widywać nie mogę.“

Maurycy szukał jakąby dać przyczynę Dixmerowi, dla której widywać go nie może, jedna mu tylko przyszła na myśl; a mianowicie ta, która w owej epoce byłaby się każdemu nastręczyła. Pisał więc dalej:

„Chodzą wieści że zbyt jesteś obojętnym dla sprawy publicznej. Nie chcę oskarżać cię, a nie dałeś mi prawa być twoim obrońcą. Wierz iż mocno nad tem ubolewam i bądź przekonany, że wszelkie tajemnice twoje zagrzebię w mem sercu.“

Maurycy nie odczytał nawet listu, który jak powiedzieliśmy, napisał pod wrażeniem pierwszej myśli, jaka mu się nastręczyła. Skutek jego nie uległ wątpliwości.

Dixmer, wyborny patryota, bo tak przynajmniej z mowy jego mógł był wnosić Maurycy, odebrawszy list taki rozgniewa się; — Genowefa i obywatel Morand zechcą go zapewne w gniewie tym utrzymać, nie odpowie zatem wcale i zapomnienie na kształt czarnej zasłony pokryje uśmiechającą się przeszłość, a tem samem przemieni ją w smętną przyszłość.

Maurycy podpisał list, zapieczętował, wręczył służącemu i posłaniec odszedł.

Wówczas dopiero słabe westchnienie wyrwało się z piersi republikanina, wziął rękawiczki, kapelusz i ruszył do sekcyi.

Miał nadzieję, biedny Brutus, że wobec publicznych interesów, odzyska spokój.

Okropnie też stały te publiczne interesa, bo nadchodził 31 maj. Trwoga nakształt powodzi, spadając z wysokości góry, usiłowała porwać za sobą zawadę, jaką żyrondziści stawić jej usiłowali, zawadę stronnictwa śmiałego, lecz umiarkowanego, które głośno domagało się pomsty za rzeź wrześniową i walczyło przez chwilę w obronie życia monarchy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Szanowna pani — uśmiechając się dodał doktor — być zjedzonym przez najpiękniejszego lwa czy panterę, jest to zawsze być zjedzonym.

Z ukosa spojrzał na Wolskiego, gdyż ten mu żywo przedstawiał to szczęście, o którem mówiła baronowa.

— Dajmy pokój tym drażliwym przedmiotom — cicho i nieśmiało wtrącił Wolski — mówmy o czem innem.

Z drugiego pokoju wszedł chłopczyk właśnie, który mógł nastręczyć przedmiot nowy tak pożądany.

Był to najstarszy synek Wolskiego Fryc, którego on doktorowi przedstawił, szepcąc po cichu, żeby się do niego po polsku czasem nie odzywał, bo ani słowa w tym języku nie rozumie.

Chłopak był przystojny a jako ulubieniec mamy dosyć śmiały.

Gdy garbus się nim zajął, baronowa z Arnheimem zaczęła coś szeptać po cichu i śmiać się.

Fryc bez ogródki oświadczył na pytanie, czemby sobie być życzył, iż chce być żołnierzem i bohaterem jak ten, którego imię nosi.

Wojtuś zmilczał — zrobiło mu się dziwnie smutno, z wyrazu jego twarzy Wolski to odgadł i oczy spuścił. Osamotniony, otoczony innymi ludźmi o wielu rzeczach zapomniał, wiele się w nim zatarło, które jeden teraz wyraz, spojrzenie boleśnie z duszy wyrywało i stawiło przed sumieniem.

Baronowa zawiązała znowu rozmowę.

— Spodziewam się — rzekła — że pan zmuszony mieszkać w Berlinie przez czas jakiś, częściej nas zechcesz odwiedzać, my z drem Arnheimem nawrócimy pana.

— Albo ja państwo! — zawołał Wojtuś.

Z tej naiwności Polaka Arnheim się zaczął śmiać a doktor także... Śmieli się wszyscy z tej dziwacznej idei, ażeby prawda mogła być tam, gdzie jest dziesięciu przeciwko dwóchset. Za argument mogły wyśmienicie służyć pięści i — zwycięstwo musiało zostać po stronie większości.

— Przyznasz pan — mówiła dalej Wolska — że Berlin w oczach rośnie na europejską stolicę — nie ma jak Berlin! dla mnie nie ma w świecie jak on, to dziś istotna inteligencyi stolica.

Wojtuś nic już nie odpowiedział... co pomyślał, tego powtórzyć nie możemy.

— Nie znajdujesz pan, że jest nawet piękny? — dodała baronowa.

— Jest to niezmiernie dawno uznaną prawdą, że w rzeczach smaku spierać się nie można, lecz, żeby Berlin aż pięknym miał być?

— Ma charakter! ma coś wojskowego, rycerskiego, majestatycznego.

— Tak, podobny jest do szachownicy, na której rozsypane stoją wojenne figurki jeźdźców, wież, królów i pionków.

— To jeszcze embryon! — rzekł deklamując Arnheim... lecz jak Rzym mógł się rozwinąć wśród pustej Kampanii, tak Berlin dźwignie się z niczego w olbrzyma na piaskach brandenburgskich. Zwyciężym naturę, zrobimy raj z Hasenheide. To właśnie piękne, że w zapasach z najniewdzięczniejszą okolicą stworzymy z niej cudo...

Baronowa z zachwytem poglądała na mówiącego, Wolski mógłby był stać się zazdrosnym, gdyby się znać z tem nie oswoił oddawna. Arnheim mówił i sam się sobie przysłuchiwać zdawał. Wojtuś milczał.

Gospodarz trochę był smutny i zmięszany. Odwiedziny jak na pierwszy raz zdawały się wystarczająco długie i Wojtuś wziął za kapelusz. Nie zatrzymywano go, chociaż Arnheim widocznie był tem zdziwiony, iż jego wymowa na barbarzyńcy małe wywarła wrażenie. Pożegnał go też bardzo zimno. Gospodyni trochę grzeczniej, Wolski wyszedł z nim razem i zaprosił go jeszcze na chwilę do gabinetu.

Zdawało się, iż chciał czemś zatrzeć to wrażenie, jakie dawny towarzysz mógł wynieść z jego salonu, ale długo nie zebrał się na słowo.

— Przyznaj się — zawołał wreszcie — zbierając na odwagę — ty mnie już masz za zginionego człowieka, nieprawdaż? Westchnął.

— A! tak nie jest — wierz mi — ale są życia konieczności i moralne przymusy straszne. Wystaw sobie dawne położenie nasze, kobietę, która się dla mnie zrzekła wszystkiego. Mógłżem jej wydzierać jeszcze jej przekonania? dręczyć ją nawracaniem, gdy marła dla mnie głodem? W ciągu tego nowicyatu anim mógł anim chciał walczyć w imię mojej narodowości.

— Ale się spodziewam, że dziś swobodniejszym będąc — odparł doktor — nie zaprzesz się swych przekonań?

— A! zapewne! zapewne! lecz nie mogę drażnić... to musi przyjść stopniowo, powoli. Nie zapomnij o tem, że mamy teścia, pana radzcę komercyjnego, którego oszczędzać muszę, bo i tak u niego nie jestem w łaskach.

— Nie jesteś w łaskach?

— Niestety.

— To zadanie twej żony, aby się o nie starała.

— A! na nią się skarżyć nie mogę — kobieta prawdziwie wyższa.

— Ja to widzę — odparł ze zwykłym sobie sarkazmem Wojtuś — musicie oboje stać bardzo wysoko, zkąd nawet nie widać, że ty nie masz porządnego pokoju i wygód, jakieby ci należały. Mieszkasz jak student.

Wolski się zarumienił.

— Proszę cię — to dla tego tylko, że ja żadnych wygód nie potrzebuję, odwykłem od nich, gardzę niemi. Przez długie lata ich nie miałem, dziś stałem się dobrowolnym Diogenesem, po cóż się do tego przyzwyczajać.

Nawet Frycowi chcę tem dać dobry przykład.

Wojtuś się rozśmiał mówiąc:

— Z twej strony jest to niezmiernie pięknem, heroicznem, ale gdybym ja był twoją żoną i kochał ciebie, nie słuchałbym a otoczyłbym cię trochę większem staraniem.

— Zmiłuj się — wybuchnął Wolski za ręce go chwytając — ale ona sto razy to chciała uczynić — ja się sam jej oparłem. Słowo ci daję!

— A zatem milczę — dodał garbus — a że gościa masz w domu — odchodzę...

Wolski wyprowadził go aż na schody. Milcząc ścisnęli się za ręce.

— Proszęż cię, odwiedź nas... może inaczej się przekonasz o mojem szczęściu... Ja cię także będę często odwiedzał. Radzca nie pozwala mi, abym się zajmował praktyką. Wątpię też, abym ją znalazł w Berlinie obok tylu sławnych lekarzy. Proletaryat, gdybym wyznaczył godziny, możeby się nauczył ciągnąć do mnie, ale radzca utrzymuje, że schody walać będą i zabłacać. Dzieci mają bony i nauczyciela, ja w domu mało czem się zajmuję, jestem zupełnie swobodny.

— Tem lepiej, ja także wiele mieć będę godzin wolnych, zatem — do widzenia.

Wojtuś zszedł z głową spuszczoną. Rozmyślając o szczęściu towarzysza dziwnie usta wykrzywiał.

— Miałem wielki rozum jednak, żem się nie ożenił — rzekł w duchu — muszę sobie oddać tę sprawiedliwość. Mój Boże! a ta Lutka taka była śliczna i tak się uśmiechała, jakby mnie istotnie chciała uczynić szczęśliwym! Ale ba! stary wróbel nie dam się wziąć na plewy... Nie — nie.

Jednego poranku gdy doktor pracował nad mową, którą miał mieć w parlamencie, wszedł Wolski mizerniejszy niż zwykle i tak smutny, że nawet wyrazu swej twarzy ukryć nie usiłował. Siadł, podparł się na łokciu, zadumał nie mówiąc słowa.

— Co ci to jest?

— Nic — głowa mnie boli!

— Poruszony czemś jesteś...

— Nie wiem — odparł roztargniony Wolski — a ty co robisz?

— Widzisz, pracuję nad mową, która się na nic nie zda i za którą oberwiemy kilka znanych nam już obelżywych wyrażeń. Jednakże nie mogę, będąc deputowanym, nie popisać się choćby z jednym, jedynym „Maiden-Speech". Uznaną jest rzeczą, iż powinniśmy protestować do końca w obliczu Europy, która śpi, i Niemiec, które się naigrawają — trzeba być posłusznym. Według mnie daleko większego znaczenia byłoby milczenie i abstynencya tam, gdzie nic uczynić nie podobna, ale polityka abstynencyi uznaną jest za testimonium paupertatis i trzeba gardłować.

— Ja nic nie wiem, co się w parlamencie dzieje — odezwał się Wolski wciąż roztargniony — możesz być, by wymowne słowo w dobrej sprawie nie skutkowało?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Poszanowanie pracy.

Słynny literat i historyk szwedzki, Almquist, tak mówił o ruchu kobiecym: „W Niemczech pracują gorliwie nad otwarciem dla kobiet tych zawodów, które dotąd dostępne były jedynie mężczyznom; w znaczeniu jednakże praktycznego rozwiązania kwestyi, my, Szwedzi jesteśmy bardziej może postępowi. U nas kobieta inteligentna, nie mająca krewnych, którzyby się o nią troszczyli, nie będzie cierpiała niedostatku. Pochodzi to stąd, iż u nas kobiety mają znaczenie mniej konwencyonalnych przesądów, niż gdzieindziej. W Szwecyi panienka po konfirmacyi nie wstydzi się zabrać do jakiejkolwiek pracy, o ile tylko praca owa odpowiada jej zdolnościom."

— Twierdzenie szwedzkiego uczonego, że mieszkańcy północy wyprzedzili Niemców i inne narodowości co do praktycznego rozwiązania kwestyi kobiecej, jest zupełnie słuszne.

U nas ciągle jeszcze panuje przekonanie, że panienka z wyższej sfery, pracująca na swe utrzymanie, obniża poniekąd swe stanowisko towarzyskie.

Na północy córki dygnitarzy, ministrów i oficerów, zarówno jak córki najstarszych rodzin szlacheckich, pracują w bankach, redakcyach, biurach, na pocztach i w telegrafach, w ogrodnictwie, gospodarstwie itp. I nikomu nie przychodzi na myśl skutkiem tego gorzej je traktować w towarzystwie. Szanują je za to, iż zdołały wywalczyć sobie stanowisko, gdyż praca nie hańbi. *Praca podnosi kobietę zarówno jak i mężczyznę.*

— Ileż nędzy, ile ukrytego niedostatku można by usunąć, gdyby w naszych sferach kobiecych panowało większe poszanowanie pracy!

Leży to w interesie samych kobiet, gdyż żadna nie wie, czy jej córka lub wnuczka nie będzie zmuszoną również szukać zarobku.

Im więcej szanowaną będzie praca kobiet, tem łatwiej przyjdzie rozwiązanie kwestyi kobiecej. Wtedy bowiem przy obiorze zawodu decydować będą zdolności i wykształcenie, nie zaś tysiączne względy, jak dzisiaj.

My, kobiety, powinniśmy się przyczyniać do wzrastania szacunku dla kobiety-pracownicy.

— Zróbmy ów „społeczny rachunek sumienia", który nam nieraz ukazuje nieprzypuszczalne otchłanie! Rozejrzyjmy się dokoła w naszem otoczeniu i spróbujmy okazywać tym naszym siostrom więcej czci w słowach i czynach.

Opinia publiczna więcej znaczy w świecie, niż się ogólnie przypuszcza, lecz łatwiej również na nią wpłynąć, niż to częstokroć się wydaje. Otóż opinia o kobiecie pracującej musi uledz zmianie — i naszym to zadaniem najpierwsze kroki ku temu poczynić.

Jeżeli więc chcemy, by poszanowanie pracy wzrastało, nie okazujmy lekceważenia tym, co się jej oddają.

Skoro nikt nie odczuje, że ujęcie się jakiegobądź zawodu uczciwego strąca daną jednostkę ze stanowiska, jakie dotąd zajmowała, a otacza ją atmosferą wzgardy i poniżenia, — możemy być pewni, iż wstydzenie się pracy, lęk przed nią, zaliczyć będzie można do przeszłości.

To też widzimy, że w krajach, gdzie powoli starają się pozbyć tych przesądów, coraz więcej spotkać można osób, które nie wychodząc ze swej sfery i nie tracąc dawniej zajmowanego stanowiska społecznego, w braku odpowiedniejszego dla nich zajęcia, nie cofają się przed zawodem szwaczki, kucharki i innemi niesłusznie u nas pogardzanemi pracami.

Od nas zależy, by tej zasadzie: *praca uszlachetnia,* nareszcie uwierzono i o to uszlachetnienie przez pracę zaczęto się starać. *H. A.*

HYGIENA.

Małżeństwo a długowieczność.

Z mnóstwa sprzeczności, napotykających się w postępowaniu ludzkiem, do najbardziej rażących należy bezsprzecznie fakt, że w społeczeństwach, uchodzących za „najcywilizowańsze" — czyli szczególnie powołane do prawidłowych stosunków życiowych — właśnie najwięcej przedstawia się ta niechęć do wstępowania w stan małżeński, będący przecież podstawą rodziny, tej nieodzownej dźwigni wszelkich uporządkowanych stosunków społecznych.

Nie bez słusznych pobudek zostają w bezżeństwie np. ci, którzy mieli w swym rodzie czy to suchotników, czy chorych umysłowo itp., albo

czują się osobiście upośledzeni słabościami, mogącemi za bardzo utrudniać spełnianie obowiązków rodzinnych, lub zagrażać dziedzicznością przyszłemu potomstwu. Można też do pewnego stopnia usprawiedliwić bezżeństwo takich, którzy w młodości musieli opiekować się matką-wdową, osieroconemi siostrami itp. i przez to nie założyli własnego ogniska rodzinnego.

Ale bezżeństwo dla łatwości wygód osobistych, dla uniknięcia natężonej pracy jest czynem przeciwspołecznym.

Wielcy myśliciele, znakomici lekarze wypowiedzieli się za małżeństwem, jako stanem, w którym jedynie może być osiągnięte normalne życie, zgodne z prawami natury. Dr. *Plosz* nazywa małżeństwo, rozumie się ludzi uczciwych, „krynicą młodości, dla płci obojga".

Tylko pomiędzy 20 a 30 rokiem życia mężatki, zapewne wskutek częstego braku sił do przetrwania licznych połogów, ulegają cierpieniom połogowym, sprowadzającym śmiertelność większą, niż wśród niezamężnych takiego wieku. Ale i tu ponosi przeważnie winę zaniedbanie zdrowotnego wychowania i sposobu życia. Widzimy bowiem, że bliżej przyrody żyjące wieśniaczki, już we wczesnej młodości znoszą macierzyństwo bez nadmiernego trudu: rodzą łatwo, karmią bez wysilenia i, mimo licznych połogów, a nawet po części dzięki tym dobrym połogom, długo zachowują pełne zdrowie i czerstwą zdatność do pracy, a zarazem nie tak rychło tracą na piękności.

Że zaś bezżenność szkodzi zdrowiu, tego dowodzą liczne wiadomości statystyczne, z których wykazuje się przedewszystkiem, że pomieszanie zmysłów spotykamy znacznie częściej wśród bezżennych. We wszystkich domach obłąkanych znajduje się więcej dziewczyn aniżeli kobiet. W paryskim zakładzie tego rodzaju, zwanym „*La Salpetriere*", z 1726 obłąkanych osób płci żeńskiej było 1276 niezamężnych, a zaledwie 450 mężatek (według d-ra *Debay*). W Prusiech dokonano w r. 1882-gim obszernego spisu, według którego średnio na 10 tysięcy mieszkańców było obłąkanych bezżennych mężczyzn 53,2 i niezamężnych kobiet 29,3; owdowiałych mężczyzn 32,1; kobiet 25,6; będących w stanie małżeńskim osób obydwóch płci razem zaledwo 9,5.

Wśród niezamężnych osób płci żeńskiej obłąkanie przytrafia się najczęściej pomiędzy 25-tym a 35-tym rokiem życia, więc w okresie rozkwitu i znikania nadziei wejścia w stan małżeński.

Bezżenni mężczyźni, nawet najwstrzemięźliwsi, znajdują łatwiej odwód płciowości w pracy zawodowej, bardziej związanej z mózgiem, czyli główną stacyą nerwową; niezamężne kobiety często uciekają się w początku do pobożności, lecz po większej części daremnie i stąd rozwinięcie się cierpień nerwowych, jak histerya i obłąkanie (według *Krafft-Ebinga*).

Małżeństwo więc wykazuje siły odporne przeciw pomieszaniu zmysłów, pomimo zwiększenia życiowych trosk i kłopotów, również przeciwko szałowi samobójstwa.

Najwięcej samobójstw zachodzi wśród osób wyszłych z małżeństwa furtą rozwodu. W Saksonii wykazano mężczyzn bezżennych 1 na tysiąc, a pomiędzy żonatymi tylko połowa: 1 na dwa tysiące; co do kobiet zaś te liczby zeszły: dla niezamężnych do 1 na 4 tysiące, a dla zamężnych do 1 na 8 tysięcy.

Pod względem siły przedłużającej życie służą następne liczby. W Prusiech w r. 1896 na każdy tysiąc ludności, umarło: przed 20-tym rokiem życia: 605,9 osób:

	mężczyzn		kobiet	
w wieku	bezż.	żon.	niezam.	zam.
20 do 30 lat	8,1	*5,9*	5,8	*8,1*
30 „ 40 „	16,7	*9,5*	9,5	*9,9*
40 „ 60 „	30,2	*19,3*	18 5	*13,7*
60 „ 80 „	73,1	*55,5*	62,1	*48,2*
Ogółem	128,1	*90,2*	95,9	*79,9*

Według *Hufelanda,* na 100 osób, dochodzących do 70-go roku życia, znajduje się: mężczyzn nieżonatych zaledwo 12, żonatych 30; kobiet niezamężnych 25, zamężnych 33.

W Niemczech umiera na każdy tysiąc mężczyzn:

w wieku	nieżonatych	żonatych
20 do 30 lat	8	7
30 „ 40 „	16	9
40 „ 50 „	26	14
50 „ 60 „	42	24
60 „ 70 „	71	45
70 „ 80 „	138	96
nad 80 „	285	219
Ogółem	586	414

Sposób wypróbowania, czy płótno jest czysto lniane.

Umoczyć palec w zwyczajnej oliwie i pociągnąć nim po płótnie na poprzek. Lniane nitki nabiorą ciemnego koloru, a bawełniane pozostaną jasne. Jeżeli płótno jest z czystego lnu, zrobi się całe jednolitego ciemnego koloru.

:: HUMORYSTYKA ::

Nauka poglądowa.

Rzecz się dzieje w szkole pływania.

— Panie profesorze tonę!

— Któż panu winien; trzeba ostro machać rękoma i nogami.

— Kiedy nie mogę.

— Rób pan tedy, jak gdybyś kopał nogami kilku wierzycieli, a jednocześnie jednego znów darł za głowę.

— Rozumiem.

— A widzisz pan, teraz idzie doskonale.

Miłe przebudzenie.

— Dzień dobry panu! dla czego pan tak długo śpi?

— Byłem wczoraj na raucie i dotąd jeszcze czuję senność, lecz cóż to pana może obchodzić?

— Jakto? co mnie obchodzi, my zaraz będziemy licytować pańskie łóżko.

W szkole.

— Jasiek dla czego przychodzisz tak późno do szkoły, co?

— Bo mnie tatko posłał z zastawem do lombardu.

— Jakto? twój ojciec śmiał przyuczać cię do takich zdrożności? Czekaj napiszę zaraz list do niego.

— A bo panie profesorze, trzeba było wpisowe panu przynieść.

— (Biorąc pieniądze). A to co innego.

Źródło długowieczności.

— Przedstawiam ci tego starca, — odzywa się ktoś do swego przyjaciela. — Liczy on sobie 90 lat, pracuje ciągle, i jest dotąd zdrów jak ryba.

— A jakie jest jego zajęcie — zapytuje przedstawiającego przyjaciel.

— Jest on z zawodu kominiarzem.

— W takim razie nie dziwię się, że tak długo żyje. Wędzone w dymie mięso, konserwuje się dłużej niż świeże.

To nie dowód.

W pewnem żydowskiem towarzystwie, rozmawiają o świeżo przybyłej do małego miasteczka artystce. Idzie o to, ile może ona liczyć lat. Jedni utrzymują, że trzydzieści, drudzy, że najwyżej dwadzieścia pięć.

— A ja powiadam państwu, — odzywa się jeden z obecnych w pokoju, że nie ma ona więcej nad dwadzieścia lat.

— Skądże pan wie o tem? zapytują go wszyscy.

— Bo widziałem na własne oczy jej akt chrztu,

— Mój panie, — odzywa się świeżo przeszły z judaizmu na religię chrześcijańską młody adwokat, — jeśli akt chrztu jest niezbitym dowodem wieku, w takim razie ja mam obecnie dopiero trzy lata.

Chłopska logika.

— Wiecie co, Maciejowo, chłopak Wojciechów kąpiąc się wczoraj w rzece, utonął, — mówi do swojej kumy wiejska roznosicielka nowinek.

— Wiem, wiem. Dla tego też w ostatnich dniach był on taki blady.

Największe złe.

Mąż. Panie doktorze! cóż zatem dolega mej żonie?

Lekarz. Rodzaju choroby nie mogę jeszcze dokładnie określić. Nie mogłem zbadać, gdzie leży przyczyna złego.

Mąż. A język obejrzałeś jej pan?

Lekarz. Nie.

Mąż. Szkoda. Nie zbadał pan u niej najgłówniejszej rzeczy.

Złapała się.

— Muszę ci otwarcie wyznać, że byłam bardzo głupią, wychodząc za ciebie.

— A teraz już nią nie jesteś?

— O, teraz już nie.

— To powinnaś mi być wdzięczną, żem cię przeinaczył.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“. Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.